

BIBLIOTEKA
GŁÓWNA

W
SP

KRAKÓW

8403

Betza,
Krazenia...



186

6-2
Oct 42
1080

WYKAZ
ZPOSOBY

B. III. 5.

WŁADYSŁAW BEŁZA

Wrażenia z Podróży



LWÓW
KSIĘGARNIA H. ALTENBERGA
1903



8403

Z Drukarni Zakładu Ossolińskich
pod zarządem Karola Jasieńskiego

SPIS RZECZY.

	Str.
Wenecya	3
Padwa	57
Werona	79
Jezioro Garda	97
Medyolan	105
Genua i Piza	125
Florencya	147
San Marino	177
Grób w Ossiaku	189



Chcesz korzyść mieć z wędrówki,
To ranną wyrusz doba;
Bierz spory trzos gotówki,
A mało gratów z sobą.
Idź wolno krok za krokiem,
Nie zwierzaj się nikomu,
Patrz wszędzie bacznie okiem,
A troski zostaw w domu.



WENECYA



WENECJA

Siedziałem właśnie przed cukiernią Carlo Lavena, słynącą z najlepszych w całej Wenecyi lodów, gdy do mego stolika zbliżył się jakiś wyperfumowany jegomość i zapytawszy mnie w języku Franków, czy miejsce obok mnie wolne, ulokował się vis-à-vis mojej osoby.

— Garçon! — zawołał na usługującego chłopca, grassejąc na sposób Paryżanina, tak iż przez chwilę miałem go istotnie za Francuza, i tylko późniejsza omyłka językowa, którą popełnił przy żądaniu czarnej kawy, dała mi poznać, że mój sąsiad nie wyszedł z pod paryskiego stempla.

Przez chwilę patrzyliśmy to na plac św. Marka i na snujące się po nim tłumy, to wzajem na siebie, badając się z pod oka, gdy wtem mój sąsiad znowu zażądał widzieć się z garsonem i polecił przynieść sobie *Pester Lloyd*a.

— Węgier! pomyślałem, rad z rozwiązania zagadki co do pochodzenia mego sąsiada; a że mam z dawna słabość do Węgrów, od czasu gdy

na leniwo wysypujące się wąsietą, dla pobudzenia ich wzrostu, ze skutkiem używałem węgierskiej pomady, zwróciłem się w stosownej chwili do mniemanego „baratona“ i w języku translitawskim, nie znając na nieszczęście cislitawskiej mowy, wynurzyłem mu moją sympatyę jako potomkowi Arpada.

— Ależ ja nie jestem Węgrem, — odparł mi po niemiecku daleko czystszy akcentem od poprzedniej francuszczyzny.

— A któż pan jesteś? — zapytałem.

— Ich bin ein Galizianer!

— Rodaku! — zawołałem z zachwytem, i pocóż my obaj wykrzywiamy sobie buzie dla obcej mowy, kiedy mamy własną, w której możemy się z łatwością porozumieć.

— To pan Polak? — zapytał, jakby zdziwiony tem spóźnionem odkryciem.

— Tak panie, do usług.

— A jakże godność? — indagował dalej.

Wymieniłem mu moje skromne i krótko brzmiące nazwisko i nawzajem prosiłem, by mi udzielił wiadomości o sobie.

— Doktor praw, Natan Silberkranz, odpowiedział, prostując się w krzesło i uchylając kapełusza, jakby przez to chciał złożyć hołd samemu sobie. — Pan może zna moje nazwisko, — cią-

gnął dalej, — bo mój ojciec jest wielki kupiec zbożowy na całą Galicyę.

— Nazwiska pańskiego nie znam, ale zato imię nie jest mi obce, odparłem z uśmiechem, bo podobne nosił przecież ów mędrzec Lessinga.

— To pan zna Lessinga? — zawołał z pewnem przyjemnem wzruszeniem.

— Osobiście nie miałem tego zaszczytu, ale z czytania to nawet przyznam się panu, że znam go bardzo dobrze.

Pan Silberkranz spojrzał na mnie z pod oka, pogroził filuternie palcem na nosie i uśmiechając się zawyrokował:

— No, nie wiedziałem że z pana taki figlarz.

— A z pana jeszcze większy, bo raz pan udawał przede mną Francuza, a drugi raz wziąłem pana za Węgra.

— Dajmy pokój żartom. Dawno pan w Wenecyi?

— Od wczoraj dopiero. A pan, panie doktorze?

— Ja tu siedzę od dwóch tygodni, kąpię się na Lido, ale już od kilku lat stale tu przyjeżdżam dla morskiej choroby.

— Kuracyi, zapewne chciałeś pan powiedzieć.

— Tak jest, kuracyi, przepraszam za pomyłkę.

— O! to pan musisz znać dobrze Wenecyę?

— Jak łysą kobyłę, mój panie, odparł z nie-małą pewnością siebie.

Zastanowiło mię to porównanie pana Natana. Czy nasunęły mu je owe cztery rumaki na fron-tonie bazyliki św. Marka, którą mieliśmy przed oczyma, czy jakie inne dalekie wspomnienia, — tego nie wiem, ale ta „łysa kobyła“ przycze-piona do Wenecyi, jeździła mi długo po gło-wie, nie dając na chwilę spokoju.

— No, to pan i po włosku musisz mówić do-skonale — zagadnąłem.

— Ja mówię prawie wszystkimi językami: po niemiecku, po francusku, po angielsku, po włosku... — i jakby dla przekonania mię o praw-dziwości słów swoich, zakomenderował: „Came-riere! pagare!“

Wybiegł z cukierni ów cameriere, lecz przy obliczaniu się i indagacyi, czy pan doktor oprócz czarnej kawy nie ukrył w czeluściach swego żołądka jakich innych jeszcze ingrediencyi, prze-konałem się, że posiadał on język włoski w tym stopniu co nieboszczyk Żółkowski, który nie znając wcale italskiej mowy, założył się, że całą aryę skomponuje i wyśpiewa po włosku i za-kład wygrał, bo ta arya brzmiała:

Salery, pory,
Kalafiory!

A któż nie przyzna,
Że to włoszczyzna?!

Po zdaniu przez pana doktora egzaminu z jego „włoszczyzny“ i po rozpląceniu się z camerierem, już jako dobrzy znajomi opuściliśmy cukiernię i rozpoczęliśmy wspólną wędrówkę po placu św. Marka. Przed nami snuł się różnobarwny i różnojęzyczny tłum przybyłych z dalekich stron wędrowców, wśród których przeważał język angielski i angielskie pledy, — nad nami rozprzestrzeniał się lazur nieba, ale jakiś inny od zwykłego lazuru, bo roziskrzony od promieni wrześnieowego słońca i wibrujący lekko od powiewu niesionego z gór apenińskich wiatru.

Na placu gwarno było i tłumno. Poważne ladies i powabne mis, to pojedynczo, to w grupach rozsiane na jego taflach, karmiły gołębie, które zwabione smakowitem ziarnem, a może i pięknnością żywicielek, bez lęku i obawy obśiadały ich ręce i ramiona. Piękny to był i poetyczny widok, to też mimowolnie wstrzymałem kroki i wskazując na ten wdzięczny obrazek, zwróciłem się do mego towarzysza:

— Nieprawdaż panie, jakie to urocze?

— To się tylko panu tak zdaje, boś pan nowicysz w Wenecyi; ale przyjdźno pan tu tylko rano, kiedy ten plac zamiatają, a zobaczysz co

to za paskudniki z tych gołębi i czy warto tak „ciąć się“ z nimi.

— Ależ panie doktorze, — mitygowałem zły humor mego towarzysza, — tu nie chodzi wcale o winę gołębi, ale o wrażenie jakie one na nas wywierają. Widzisz pan tę śliczną blondynkę, tak otoczoną przez gołębie, że zdaje się uginać pod kiściami ich skrzydeł? Czy to nie powabny obrazek? Już to pan przyznaj, że w tej chwili może i zazdrościsz, iż nie jesteś jednym z tych gołębi?

— Ja? — odparł z politowaniem, w którym czuć było dużą dozę zarozumiałości, — i czegożbym „ja“ miał zazdrościć tym głupim ptakom?

— Czego? a no, choćby tylko tej ślicznej żywicielki.

— Nie wiem doprawdy, co to za pasya żywić obce gołębie. Wszakże na ich pożywienie, jakem czytał, tutejszy magistrat łoży; to są przecie magistrackie ptaki.

Te magistrackie ptaki, były takim arcydziełem w ustach pana Natana, że pomimo panowania nad sobą, nie mogłem wstrzymać się od śmiechu.

— A bodaj pana, panie doktorze! A to dopiero wróg gołębi, anim się tego spodziewał po panu!

I powąłęsawszy się jeszcze chwilę po placu św. Marka, pożegnałem pod jakimś pretekstem mego towarzysza, spostrzegłszy, że nie tylko drogi nasze — gdyż on mieszkał na Lido, ale i pojęcia o pięknie rozchodzą się ze sobą.



Ach! ten plac św. Marka!... Czyż może być coś piękniejszego w świecie? — Napoleon I-y nazwał go najwspanialszym salonem pod otwartym niebem i w samej rzeczy, trudno by szukać właściwego dlań określenia. W niczem nie jest on podobny do wielkich placów miast europejskich; nie jest on ani rynkiem targowym, ani giełdą przekupniów, choć najwspanialsze sklepy i kawiarnie, zawsze pełne gości, otaczają go dookoła; choć przez dzień cały kipi tu ruch nieustanny; choć na nim, jakby na placu zbornym, skupia się całe zewnętrzne życie Wenecyan, tu bierze początek i tu się późną nocą kończy i rozplywa.

Plac ten, to serce Wenecyi.

Z dwóch stron jest on obramiony monumentalnymi budowlami starych i nowych Prokuracyi, połączonych ze sobą od strony zachodniej skrzydłem, dobudowanem w roku 1810 przez

Napoleona Igo, który tym budynkiem odgrodził plac św. Marka od zbiegających się ku niemu ulic i nadał mu dzisiejszy, tak powabny i harmonijny wygląd.

Na wprost kolumnady tego Napoleońskiego gmachu, na samym końcu placu, wznosi się słynna Bazylika św. Marka. Jest to najoryginalniejsza zapewne świątynia jaka istnieje w Europie, gdyż łączy w sobie dwa tak sprzeczne style jak bizantyński i gotycki, a jednak mimo tego architektonicznego dziwactwa, jest niezwykle wspaniałą i pełną że tak powiem, wschodniego przepychu.

Największą jednak osobliwością tej Bazyliki, jest czwórka koni ustawionych na jej froncie. Jest to zdobycz wojenna ślepego Doży Dandolo, który, po podbiciu Konstantynopola w 1204 r. przewiózł je do Wenecyi i ofiarował na usługi św. Marka. Czwórka ta, niepospolite dzieło sztuki greckiego, jak przypuszczają, rzeźbiarza, odlana z brązu, zdobiła przed wiekami tryumfalny łuk Trajana w Rzymie, skąd przez Konstantyna Wielkiego została przewieziona do Bizancyum a stamtąd już, jako trofeum wojenne dostała się do Wenecyi. Od siedmiu wieków stoi owa czwórka koni, jakby na straży tej świątyni, podnosząc sobą jej oryginalność i budząc podziw

licznych podróżników, którzy, oglądając kościół św. Marka, naprzód na nich swój zdumiony wzrok zatrzymują.

Do niedawna jeszcze, bo do połowy 1902 roku, od strony nowych Prokuracyi, stała na tym placu olbrzymia *Campanila*, — strzelająca w niebo do wysokości bez mała stu metrów, oryginalna — jak wszystkie zresztą w Wenecyi budowle, swoim niepowszednim ogromem i majestatycznością. U stóp jej, od strony Pałacu Dożów, wznosiła się (złe to porównanie wobec ogromu tej wieży), a więc przylgnęła do niej słynna *Loggetta* Sansowina, na której całość złożył się bronz i marmur i w tem połączeniu, stworzył z niej, na sprawę geniuszu artysty, istne cacko architektoniczne, na które nie można było dość się napatrzeć. Dziś obie one — i ta olbrzymia dzwonnica i ta miniaturowa przy niej *Loggetta*, należą już do przeszłości. Nie pozostało po nich nic, prócz wspomnienia...

Dzień 14. lipca 1902 był ostatnim dniem ich istnienia. O godzinie 9 z rana, dzwon z tej wieży po raz ostatni odezwał się spiżowym echem i wkrótce potem, wieża zatrzęsała się w posadach, a w kilka chwil rozpadła się w gruzy, przytłaczając swoim ogromem *Loggettę* i niszcząc jedną połąć królewskiego pałacu.

Był to dzień powszechnej żałoby dla Wenecyi.

— *Venezia e morta!* wołali gondolierzy, prze-
rażeni tą klęską.

— *Venezia e morta!* powtarzał lud groma-
dzący się na miejscu wypadku, — a boleść po
stracie tego zabytku dawnej przeszłości miała
być tak wielka że, jak mi opowiadali naoczni
świadkowie tej strasznej katastrofy, płacz był
powszechny na placu św. Marka.

Kiedy w kilka tygodni po tym wypadku przy-
byłem do Wenecyi, jeszcze gruzы tej olbrzymiej
wieży zajmowały blisko piątą część placu. Trzon
jej tylko, wznoszący się na parę metrów od po-
ziomu, biały od pyłu i pokrywającego go wapna,
świecił jak trupia czaszka i zdawał się mówić
o znikomości rzeczy ludzkich.



Tej nocy śnił mi się barszcz.

Barszcz, jak wiadomo, oznacza trzęsienie
ziemi, a kto temu nie wierzy, niech weźmie do
rąk którykolwiek z senników wydanych w Bo-
chni lub Wadowicach, a przekona się o praw-
dziwości słów moich.

Podrażniony snem i wynikającą z niego prze-
powiednią, zwłaszcza, że jako rodowity Mazur,

wierzę ślepo w gusła i czary, w uroki i różne prognostyki, szedłem w najgorszym humorze przez plac św. Marka z zadartą do góry głową, przyglądając się zegarowej wieży, — gdy wtem „hrym“ — upadłem jak długi, potknąwszy się o jakiś przedmiot okropnie twardy i kościsty.

Tym przedmiotem była jakaś chuda jak szczapa malarka, której idąc pod blask słońca, nie dostrzegłem na drodze, a która z wrzaskiem „oh! mon Dieu, mon Dieu“, gramoliła się na moich plecach, wpijając w nie swe kościste palce i kwiląc przytem jak zarzynana indyczka.

— Madame! wybacz moją niezgrabność, — błagałem zdławionym głosem — i jeśli łaska, pofolguj na chwilę, bo dalibóg nie wytrzymam twego namiętnego uścisku!

Ale łatwiej ugłaskasz dziką tygrysicę niż rozłoszczoną niewiastę! Moja artystka trzymała mnie silnie w swych szponach, łajała najwyszukaniejszymi wyrazami i wzywała Boga i ludzi na świadków mej nieprawości.

A tymczasem około nas zaczęła się kupić gawieź uliczna. Kobiety chichotały po cichu, mężczyźni dowcipkowali głośno, bo w tym wypadku więcej było komizmu niż tragiczności i wreszcie sama pokrzywdzona, widząc, że nikt jej jakoś z pomocą nie spieszy, podniosła się z ziemi

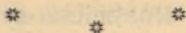
i zaczęła poprawiać na sobie ubranie. Skorzystałem skwapliwie z tej chwili i zerwawszy się na równe nogi, pozbierałem przedewszystkiem rozrzucone rekwizyta malarskie, a przyprowadziwszy je do porządku, zbliżyłem się do rozgniewanej Muzy i usprawiedliwiwszy się raz jeszcze z mojej nieuwagi, ucałowałem z namaszczeniem jej chudą rękę.

Ten hołd z mej strony podobał się artystce, a niemniej zyskał uznanie bezpłatnej galeryi, gdyż z kilku ust padło zachęcające „brawo“, które w skromności swojej artystka wzięła do siebie, a ja, że to mężczyźni zazwyczaj bardziej są zarozumiali, również na swoje konto policzyłem.

Tak się skończyła niefortunna moja przygoda z chudą artystką, którą codziennie potem spotykałem na placu św. Marka i za złożony ukłon, zawsze byłem obdarowywany od niej wyszczerzeniem garnituru pożółkłych zębów, co miało niby oznaczać anielski uśmiech i przebaczenie...

Jużto od tych wędrownych Rafaelów i prerafaelistycznych adeptek pędzla, roi się doprawdy w Wenecyi. Co krok ich spotykasz, co chwila się o nich ocierasz, a widok ich amatorskiej produkcyi gotów cię zniechęcić do prawdziwej sztuki i do prawdziwych artystów. Ale wypadek

który mię dziś spotkał, kazał mi ich unikać starannie.



Wstrętną i nieznośną plagą Wenecyi jest uliczne żebractwo. Gdzie tylko się zwrócisz, wszędzie towarzyszy ci napastliwy głos jakiegoś obszarpańca, który wyciągając rękę i chwytając cię niemal za połę, skomli z udaną pokorą: „uno soldino, signore“! A gdy wreszcie zmęczony i zdenerwowany tą napaścią, rzucisz owego solda, to wtedy przepadłeś z kretesem, bo ze wszystkich kątów wysypie się na ciebie rój jakichś zakazanych indywiduów, które nie przestaną cię prześladować natrętnem nagabywaniem: „soldino signore, soldino!“

Młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni, zdrowi i udający z mistrzowstwem kalectwo, — cała ludność tutejsza, ta która koczuje na placach i wybrzeżach kanałów, oddaje się z zamiłowaniem temu sportowi, który może przywieść do rozpaczki każdego podróżnika.

Pamiętam, szedłem raz przez Molo, gdy zbliżył się do mnie jakiś wyrostek i natarczywie dopominał się o datek. Gdy niewzruszony jego natręctwem, w milczeniu posuwałem się dalej, chłopiec widząc że mię swym głosem nie ubłaga,

chwycił się innego sposobu: rzucił się jak piłka w powietrze, odbił rękami od ziemi i znowu stanął na nogach. Rozśmieszony tym jego fortem, dobyłem z kieszeni miedziaka i dałem mu na odczepne.

Nie zauważałem, że scenę tę obserwuje w pobliżu jakiś stary, wsparty na kiju żebrak i uśmiecha się złośliwie. Gdym obok niego przechodził, wysunął się nagle z za węgła i nastrojonym na żałosną nutę głosem domagał się jałmużny. Mijałem go obojętnie, co spostrzegłszy, odrzucił łaskę od siebie i nagle przed zdumionemi memi oczyma takiego kozła wytnie w powietrzu, że zakasował nim zupełnie swojego współkonkurenta!

— Ecco signore! — rzekł zdejmując kapelusz i wyciągając rękę.

Co było robić? I drugi sold powędrował z kieszeni a ja pomyślałem sobie, że nie tylko w la sku Idy greckie boginie, ale i żebracy w Wenecyi „na sposoby biorą się“.

Nie skończyłbym mojej litanii o tej nieznosnej pladze, gdybym przytaczał wszystkie przygody, które mię z jej racyi spotkały. Nie tylko na ulicach, ale i w gondolach nie znajdziesz przed nią ucieczki. Płynąłem raz z żoną przez jeden z wązkich kanałów, gdy niespodzianie usłysz-

liśmy nad sobą coś jakby świegot młodych wróbli. Podniósłszy głowy do góry, ujrzelśmy w oknie mezaninu, wychodzącym na kanał, dwoje zamorusanych dzieci, które wyciągając ręce, dopominały się w ten sposób o jałmużnę. Najlepszą w takim razie taktyką jest, mojem zdaniem, zupełna obojętność i angielska flegma, gdyż one tylko zdolne są uchronić od natarczywości uliczników.

Można się chwycić także i innej metody, tej, której ja sam raz użyłem, ale to już zależy od dobrego humoru i usposobienia.

Wracałem pewnego wieczoru do hotelu, gdy raptem otoczyła mię zgraja brudnych i obszarpanych uliczników i wyjąc jak stado pawianów, nagabywała natrętnie o jałmużnę. Zatrzymałem się przed nimi, zmierzyłem ich drwiącym wzrokiem a zdjawszy kapelusz, wyciągnąłem rękę i ze słowami: „Io sono povero vecchio, per l'amor di Dio, date mi uno soldino!“ szedłem prosto w środek ich grupy.

Dzieciaki w pierwszej chwili wytrzeszczyły na mnie żdziwione oczy, a potem domyśliwszy się komedyi, parsknęły śmiechem i jak stado gołębi rozpierzchły się po placu.



Razu pewnego pytano jakiegoś Fujarkiewicza z Mościsk, który o Bożym świecie nie wiedział, a z literaturą w tak dalekich był stosunkach, że nawet gazety nie trzymał, co też sądzi o „Ojcu zadżumionych“ Słowackiego, którego przypadkiem znalazł w pokoju swej córki i z nudów, podczas trzydniowej słoty, przy poobiedniej drzemce, do poduszki odczytywał.

— At, co tam długo gadać, odparł, wzruszając z politowaniem ramionami, — to przecie wiadać od razu, że ten Arab miał pech do dzieci i koniec!

Jak ów Arab do dzieci, tak ja w tym dniu wtorkowym, miałem szczególny „pech“ do Wenecyi. Czegom się jął, to mi z rąk wypadało; com tylko zamierzył sobie dokonać, to do skutku nie doszło; słowem, byłem jak urzeczony. Kupiłem prześliczne zwierciadło ręczne w mozaikowych ramach, gdy wtem potrącony przez nieuważnego przechodnia wypuściłem je z ręki, no, i naturalnie nie miałem już co zbierać, bo zwierciadło poszło w drobne kawałki. Miałem jechać do Torcello i spóźniłem się na parowiec, wskutek czego i dzień czasu i wyłożone na kupno biletu pieniądze, straciłem. Zły i zdenerwowany wstąpiłem do pierwszej lepszej kawiarni pod arkadami starych Prokuracyi na lody, aby nimi ochłó-

dzieć wzburzoną krew i przyprowadzić nerwy do równowagi.

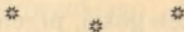
Muzyka grała na placu; mnóstwo osób snuło się naokoło, — a wśród krzeseł, stolików i nóg siedzących przy nich gości, przemykały się ukradkiem jak szczury, obdarte chłopaki, zbierając na wyścigi porozrzucane ogryzki od cygar i łupy od pomarańcz.

Po niejakiem czasie, gdy miałem już dosyć lodów, muzyki i tego gwarne go tłumu co mię zalewał swą falą, — zadzwoniłem łyżeczką o kieliszek, (bo w Wenecyi podają lody w dużych kieliszkach), aby przywołać w ten sposób kelnera; a gdy to nie pomogło, podniosłem do góry rękę, w której trzymałem banknot dziesięcilirowy, pokazując mu niejako na migi, że chcę się z nim rozplącić.

Wtem, jakby gołąb przeleciał i uderzył mię dziobem po palcach, takiego doznałem wrażenia, a równocześnie i moja dziesięcilirowka jakby zdmuchnięta od wiatru, ulotniła się z mojej ręki.

Tym artystą, który tak cudownie naśladował gołębia, był naturalnie jeden z tych ziemnych szczurów, myszkujących pomiędzy gośćmi, — a niepodobna było krzyczeć „łapaj“, gdy się nie było pewnym, kogo chwytać należy.

Był to już trzeci, tego dnia, pechowy mój wypadek, po którym zapisałem sobie w notatniku: „strzeż się w Wenecyi złodzieja“.



Kiedy wybierałem się do Wenecyi, a przyjaciele żegnali mię na dworcu i upominali, bym pilnował kuferka, laski i parasola, a przede-wszystkiem dawał baczenie na ślubną obrączkę, jako iż to było w dawnym zwyczaju, że doża wenecki rzucał ją do morza, — jeden z nich dał mi arcypraktyczną, jak się potem, przeko-nałem, radę:

— A pamiętaj targować się z Włochami, bo to oni gorzej cyganów!

Przyszło mi to na pamięć, gdym zaszedł tu do jednego z pierwszorzędných magazynów „à la citta di Venezia“ i zażądałem jakiejś ba-gatelki na prezent do domu.

— Cinquanta lire, — odparł bez zająknienia właściciel, — gdym go zapytał o cenę.

— To drogo, — odparłem, — ja mogę dać najwyżej dwanaście.

Włoch spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby nim chciał mię przygwoździć do ziemi, i mruk-nąwszy jakieś przekleństwo pod nosem, zaczął

nerwowo składać do szuflady wyłożone na stole przedmioty.

— Nie, to nie, pomyślałem sobie i zabierałem się do wyjścia.

— A wiele pan da? — zawołał, — nie puszczając mnie ze sklepu.

— Dwanaście, — odpowiedziałem skromnie.

Włoch podniósł ze zgrozą ręce do góry i syknął:

— Bierz pan za trzydzieści!

— Dwanaście, — cedziłem najśłodszym, na jaki mogłem się zdobyć, głosem.

— Dwadzieścia pięć, jęknął — zgnębiony.

— Dwanaście, — mówiłem, ani na chwilę nie wychodząc z równowagi.

— To bierz pan za piętnaście i... proszę na drugi raz nie zapominać o mnie!



— A jakże tam kobiety? — zapytał mię jeden z moich znajomych, słynny Lovelas lwowski, który zna na pamięć wszystkie piękności uczęszczające do ogrodu Jezuickiego i do parku stryjskiego, a nawet odwiedza kiedy niekiedy, zupełnie incognito, demokratycznego „Grunda“, wskutek czego, na punkcie kobiet ma gust wszechstronnie wyrobiony.

— Cóż ja panu o nich powiedzieć mogę, — odparłem, — spuszczając skromnie oczy: kobiety z ludu chodzą w drewnianych trepkach i koronkowych chustkach na głowie, a damy z towarzystwa w safianowych bucikach i w kapeluszach z kwiatami.

— No, ale przecież, jakie na panu zrobiły wrażenie?

— Pierwszą osobą płci żeńskiej, odparłem, — którą spotkałem nazajutrz po mojem przybyciu do Wenecyi, była stara jak świat i odpowiednio brzydka kwieciarka, więc też i to pierwsze, odniesione przezemnie wrażenie, nie mogło być dodatnie. Ale rozpatrzywszy się później w tej różnobarwnej i świegotliwej rzeczypospolitej niewieściej, napełniającej place i ulice Wenecyi, przyszedłem do przekonania, że Wenecyanki — a naturalnie mówię tu tylko o młodszej generacyi, są wcale ładne i powabne.

Nie w samej jednak Wenecyi, — ciągnąłem dalej, szukać należy pięknych i nadobnych twarzątek. I tu ich naturalnie nie brak, jakem to wyżej zaznaczył, — ale prawdziwe piękności, jak perły w morzu, kryją się na okolicznych wyspach, na Burano, Torcello, Chioggii... Tam dopiero widziałem śliczne co się zowie twarzyczki i pełne harmonii kształty, i tam dopiero

powziąłem wyobrażenie o piękności Wenecyanek...

Na Burano, na przykład, w liczbie kilkudziesięciu dziewcząt, zatrudnionych przy robocie koronek, zaledwie kilka miało twarz pospolitą i bez wyrazu, gdy natomiast reszta posiadała klasyczne rysy, ślicznie skrojone usta i nosy, obfitą fryzurę, a nadewszystko oczy, głębokie jak toń morska i jak ona tajemnicze.

O! tak, Włoszki są piękne i czarujące, dopóki trwa ich młodość; stare zato matrony wyglądają na twarzy jak wypalony żużel, tylko wzrok ich zdradza niekiedy tę łunę, która od nich biła w młodości. Zresztą są brzydkie i odstręczające, a do tej ujemnej opinii o nich, przyczynia się i to, że chodzą brudne i opuszczone, z niedbale zwieszoną na ramionach chustką, swarząc się nieustannie między sobą i trzepiąc językiem, niegorzej od lwowskich kumoszek.

Jeśli wszakże owe dostojne wiekiem matrony są ze wzruszającą dla siebie abnegacją, to młode i ładne starannie dbają o swoją powierzchowność. Każda nosi na sobie pełno świecidełek i brzęka-deł, to w uszach, to na szyi lub ręku; każda ozdabia swój gors woniejącym kwiatkiem; każda spleta włosy w jakiś artystyczny węzeł, ujęty w koronę szpilek o polerowanych główkach,

które tworzą naokoło jej skroni rodzaj błyszczącego dyademu; każda wreszcie jest schludnie i z wdziękiem ubrana — to też nie dziw, że pociąga za sobą oczy a za oczami — serca.

Kokieterya zresztą jest wszystkim tym młodym stworzeniom wrodzona; jest ich istotą, życiem, przynętą, a często i całym bogactwem. Trafiałem nieraz dziewczęta bardzo ubogie, w łatanych spodniczkach i dziurawych pończoszkach, na rozmowie z kochankami, a tyle było w ich obejściu wdzięku i powabu, że zapominałem o akcesoryach, a od samego ich widoku oczu oderwać nie mogłem.

Jakimi są one w pożyciu domowem? czy są wiernymi żonami i kochankami? — Na to nie umiem odpowiedzieć; — lecz właśnie, gdy to pytanie rozbierał, dobiegły mię słowa znanej ary: „La donna e mobile!“ i mimowolnie wywołały uśmiech na moje usta.



Od kobiet do dzieci przejście tak łatwe i naturalne, że nikt mi za złe nie weźmie, jeśli tym małym istotom bodaj miniaturową wzmiankę poświęcę.

Przedewszystkiem muszę zauważyć, że w całej Wenecyi niema patryarchalnych bocianów

i według starej legendy, przynoszą je w dzióbku gołębie, te ptaki miłości i rozkoszy.

Śliczne to są bambiny!... Czarnookie i czar-nowłose, z usteczkami, z których zda się krew za chwilę wytryśnie, z cerą matową, która je robi tak interesującemi, a przytem dziwnie wyzywające i czupurne, że miej się na ostrożności, bo ci jak małe kocięta do oczu skoczą!

Widziałem je na zabawie w tutejszym publicznym ogrodzie i zauważyłem, że bawią się inaczej niż nasze dzieci. Jeśli grają w piłkę, to nie dlatego, aby ją uchwycić w powietrzu, lecz by nią drugiego trafić. Jeśli ścigają się ze sobą, to ten, który dobiega do celu, widząc zdążającego za sobą współzawodnika, który go może pozbawić zwycięstwa, bez ceremonii podstawia mu nogę, a sam staje u mety.

Inne też nawet mają one zabawki. Naszym dzieciom kupuje się konika lub szabelkę, — a dzieciom weneckim malutką gondolę, którą puszczają one na wybrzeżach kanałów lub w domu w balii albo miednicy. Naszym dzieciom, w nagrodę za grzeczne sprawowanie, obiecuje się gruszkę lub pierniczek; weneckim dzieciom, w takim wypadku, przyrzeka matka, że je zawiezie na Lido i pokaże żywego konia, którego one w Wenecyi nigdy nie widziały.

Ha, co kraj to obyczaj, — ale trzeba przyznać, że i w tym kraju są dzieci tak ładne jak u nas i tak samo jak nasze, przez swoich rodziców psute i pieszczone.



Poznałem tu przypadkiem zardzewiałego szlachcica z pod Odessy, który już od miesiąca mieszkał w Wenecyi i nie mógł sobie, jak powiadał, dać rady z Włochami.

— Bo to panie, po polsku do nich ani rusz! a jak zagadam do którego po łacinie, która jest przecie podobna do ich języka, to Włoch tylko na mnie oczy wybałuszy i w nos mi się śmieje.

Trudnoż mi było nie współczuć z rozżalonym szlachcicem, który oprócz własnego i trochę kuchennej łaciny, którą ze szkół zapamiętał, nie znał żadnego innego języka.

— Ale ja panie dobrodzieju, nie głupi i nauczyłem się od naszego Paska, że pieniądz jest najlepszym tłumaczem i pośrednikiem pomiędzy ludźmi; jest tym talizmanem, który rozwiązuje języki i każdy z nich czyni dla każdego zrozumiałym. Więc tedy, — ciągnął dalej, — jak się nie mogę z Włochem rozmówić, radzę sobie w ten sposób: wyjmuję pieniądz z kieszeni, daję mu go powąchać i pokazuję przedmiot, który

chcę nabyć. Włoch „łap“ za pieniądz, ja „cap“ za towar i interes poszedł jak po mydle! Najgorzej jednak w restauracjach. Jeszcze jak człowiek zażąda kawy lub herbaty, to pół biedy; ale bądź-że tu mądry, gdy ci dadzą do ręki spis potraw i przeczytasz jakieś *ministry*, *polenty*, *pataty*, *fritaty* i t. p., to doprawdy człowiek w głowę zachodzi, co to wszystko znaczy i co ma na ząb położyć...

Raz, panie dobrodzieju, siedzę sobie w traktierni i przeglądam jadłospis, rozmyślając co tu wybrać, aż natrafiam na *mostarda francese*. No, to jakoś zrozumiałem, więc ucieszony myślę sobie: gdzie jest musztarda, tam musi być w pobliżu mięso, boć musztarda przecie do mięsa się tylko używa i przeczytawszy pod spodem *pepe*, kazałem sobie podać jedno i drugie. I cóż pan powiesz? Szelma Włoch, uśmiechnął się chytrze i podsunąwszy mi wraz z musztardą pieprzniczkę, zapytał z udaną słodyczą:

— Che voglia mangiare?

— Idź do dyabła! — krzyknąłem nań z wściekłością i trzęsąc się od gniewu, wyszedłem z restauracyi.

— Trzeba mu było dać pieniądz powąchać, — odparłem ubawiony tym epizodem, — może byłby się domyślił.

— Dobrze panu żartować, gdy ja przez cały dzień byłem głodny. Że też to, — ciągnął dalej, — królowa Bona, która nam wniosła do Polski rozmaite sałaty i korzenie, nie nauczyła Włochów, po swoim do nich powrocie, przyrządzania uczciwego barszczu, zrazów z kaszą lub klusek z serem.

— No, pod tym względem, to pan nie masz racyi, bo ich makaron z parmezanem lub risotto alla Milanese, doskonale zastępują nasze kluski z serem i jaglaną kaszę z omastą.

— Zapewne, — potwierdził napół przekonany, — ale to zawsze nie to, co u nas. Wino tylko szelmy mają dobre i warto mu dać buzi.

Na to wspomnienie, mlasnął pocziwiec językiem a popatrzwszy na mnie z pod oka, trącił w bok łokciem i zaproponował:

— A możebyśmy tak sobie wstąpili na jaką butelczynę?

— No, o wino, to się pan jak wnoszę, łatwo porozumiał z Włochami, bo ten wyraz ma jednakowe w obu językach znaczenie i tłumaczyć go na włoskie nie potrzeba.

— Lubię takie verba, — odparł z przekonaniem, — co to je od razu zrozumieć i skosztować można!

— A więc nie traćmy czasu i wstąpmy do winiarni.

Weszliśmy, — a szlachcic przystąpił z gęstą miną do bufetu i zakomenderował:

— Date mihi amphoram vini!

— Signor parla italiano? — zagadnął Włoch zdziwiony, — słysząc pokrewne dźwięki.

Non tego signor, non tego... ale na winie znam się doskonale, więc dawaj dobrego. Bonum vinum! — dodał dla łatwiejszego zrozumienia swego żądania.

— Subito signor, — odparł Włoch układnie i za chwilę zjawiała się na stole litrowa fiasza wybornego *Valpolicella*, którą naturalnie, wysuszyliśmy do dna uczciwie. Szlachcic chciał stawiać drugą, na co jednak nie przystałem, i chwiejącego się na nogach, bo więcej kieliszków wypił ode mnie, odprowadziłem do hotelu.



Poco przyjeżdża się do Wenecyi?

Zakochane pary po to, aby na siebie patrzeć i nic poza sobą nie widzieć.

Anglicy, żeby uciec przed splenem i porównać czy opis w *Baedekerze* zgadza się z rzeczywistością.

Niemiec, żeby się czegoś nauczyć.

Francuz by się bawić, — a Polak by grać tu rolę arystokraty i za powrotem do domu pochwalić się, że go w hotelach tytułowano „il conte“. Ale ktokolwiek wybiera się do Wenecyi niech dobrze zaopatrzy swą kieskę, bo Włosi mają węch bardzo delikatny, — z daleka zwęszą gołgo, i niech też pamięta na włoskie przysłowie, które powiada: „conte che non conta, non conta niente“.

Poco jednak naprawdę przyjeżdża się do Wenecyi? co za czar jest w niej zaklęty, że tak pociąga ku sobie? — Byron powiedział o niej, że jej widok sprawia wrażenie snu uroczego, a historia czyta się jak romans. Ludzie cieszą się i radują, na samą myśl, że do niej zdążają. I nie przynosi im ona rozczarowania. Dawna królowa Adryatyku, której tyle miast i wysp hołdowało, której z mórz i z lądów zwożono bogactwa, której doża z mrocznych komnat „Palazzo ducale“ wydawał rozkazy odbijające się echem o mury Carogrodu, dziś choć zesła do roli prowincjonalnego miasta półwyspu apenińskiego, mimo to nie przestała być „perłą Włoch“ jak ją Taine słusznie nazywa.

Nie myślę tu bynajmniej kreślić dziejów Wenecyi, ani też rozpisywać się o jej pałacach,

sztuce i architekturze, — raz, że to nie leży w ramach które tym luźnym notatkom zakresliłem, a powtóre, że uczynili to przede mną inni, a przedewszystkiem tak blizki mojemu sercu brat mój Stanisław, do którego dzieła o Wenecyi ciekawych odsyłam*.

Trudno jednak mówiąc o niej, nie rzucić okiem na te wybrzeża z szeregiem starożytnych domów; na te kanały z których wód wprost one wyrastają; na ów wspaniały wreszcie wodny gościniec, który ją przez całą długość przeryna, t. j. na ów kanał wielki, mający przeszło trzy kilometry długości a ozdobiony po obu stronach arcydziełami architektury. Trudno, powtarzam, pominąć milczeniem i przejść obojętnie obok tych ciekawych gmachów, skoro się przechodziło z zajęciem obok mniej ciekawych ludzi.

Od czegoż więc rozpoczniemy naszą wędrówkę?

Chyba od zwiedzenia tej głównej arteryi komunikacyjnej Wenecyi, tego wielkiego kanału, przez który przelewa się cały jej ruch handlowy i towarzyski; a że wprost pałacu Dożów jest stacya parowców Towarzystwa „di navigazione lagunare“ i sygnał do odjazdu już słyszeć,

* Patrz: »Na Lagunach« przez Stanisława Bełzę. Warszawa. 1895.

korzystajmy więc ze sposobności, siadajmy i płynmy.

* * *

Był to drugi dzień świąt wielkanocnych 1897 roku, które przypadły 18 kwietnia, a więc na samem przesileniu wiosennem, które jest najpiękniejszą porą w Wenecyi. Ruch na kanale był wielki i w różne strony snuły się lotne gondole i wyświeżone po zimowym spoczynku parowce.

Na statku, którym płynąłem, pełno było cudzoziemców i co moment słychać było dźwięki mowy francuskiej lub niemieckiej, bo poważni Anglicy, skupieni u dziobu parowca, rzadko kiedy i to tylko monosylabami odzywali się do siebie.

Płynęliśmy — a przed naszymi oczyma przesuwaty się pałace dawnych wielmożów, takich Giustinianich, Contarinich, Loredanów; takich Correrów, Mocenigów i Grimanich; takie wreszcie „klejnoty architektury“ jak pałace Foscari lub Cá d’Odro... Mój Boże, i cóż się z nimi stało?

Pałace Giustiniani, Tiepolo, Molin, Ferro, a nawet pałac zwycięzcy Carogrodu, owego doży Dandolo, który taką sławą okrył Rzeczpospolitą wenecką, zamienione są na hotele! W innych

mieszczą się fabryki szkła, mozaiki lub składy marmurów, a inne jeszcze zamkniętymi na głucho okiennicami, patrzą na ciebie jak oczyma ślepcy i skarżą się na sponiewieraną swoją chwałę i na nieuszanowaną sędziwość.

Zaciera się nawet pamięć dawnych ich właścicieli. Przepływalismy właśnie około budowli sąsiadującej z pałacem Cavalli, w pięknym, gotyckim stylu, której widok mię zainteresował, więc zapytałem siedzącego obok Włocha, co to za pałac i do kogo należał?

— Non so! — odparł niedbale i zmierzył mię takim wzrokiem, jakby się dziwił, skąd mi przyszło do głowy pytać go o to.

Trzysta z okładem lat temu, w jednym z tych pałaców, a mianowicie w pałacu Foscari, gdzie dziś mieści się szkoła handlowa, gościł po swej ucieczce z Polski, Henryk Walezyusz, a w pałacu Grimani, bawił w 1625 roku przez kilka tygodni królewicz Władysław, syn Zygmunta IIIgo, a później król polski, którego Wenecya podejmowała nadzwyczaj wystawnie. Kronikarze tych czasów, jak niemniej jeden z dworzan królewicza, zostawili nam barwny opis tych zabaw i uroczystości, tych regat na wodzie i balów w pałacach, które patrycyat wenecki dawał na cześć młodego dziedzica polskiej korony.

Czytając dawniej ten opis, zazdrościłem w duszy, że nie był świadkiem tych wszystkich wspaniałości, gdy oto los przyjazny tak zrządził, że i ja całkiem niespodziewanie zostałem widzem podobnego przyjęcia i to nie byle kogo, bo samego księcia Neapolu!

W tym bowiem roku, w końcu kwietnia, urządziła Wenecya drugą międzynarodową wystawę sztuk pięknych, a do jej otwarcia, został wydelegowany z ramienia króla Humberta następcą tronu, który też w oznaczonym terminie, wraz ze swą małżonką, zawitał do Wenecyi.

Już od południa ruch na wielkim kanale był mocno ożywiony. Gondolierzy przystrajali swe łodzie, cudzoziemcy dobijali targu o ich wynajęcie; uboższa ludność sadowiła się na parowcach lub pieszo dążyła ku dworcowi kolei żelaznej, a na wszystkich twarzach znać było malującą się ciekawość ujrzenia czegoś nadzwyczajnego.

Z ciężką biedą wyszukawszy nienajętą gondolę, w towarzystwie mej żony, Maryana Gawalewicza, częstego gościa w Wenecyi, której tak piękne poświęcił strofy, tudzież przyjaciół naszych państwa Wacławowstwa Wolskich, wyruszyliśmy zaraz po obiedzie ku „Ponte Rialto“, aby tu sobie obrać punkt obserwacyjny. O wej-

ściu na most, który literalnie zasiany był mrowiem ludzkim, mowy być nawet nie mogło; zostaliśmy przeto w gondoli i długie chwile oczekiwania skracaliśmy jużto udzielaniem sobie wzajemnych wrażeń, jużto wałęsaniem się po kanale, który na naszą komendę gondolier w różnych kierunkach przerzynał.

Lecz oto poruszył się tłum widzów na moście; z tysiąca piersi zagrzmiało gromkie „evviva!” i przed naszemi oczami roztoczył się widok, jakiego zapewne już drugi raz nie ujrzę w życiu.

Na przodzie, niby łódź pilota wskazującego drogę, pruća szybko nurty kanału złocista gondola prefekta miasta, poruszana ośmiu wiosłami, a za nią mknęła cała flotyla fantastycznych statków, to złotych, to srebrnych, to mieniących się w rozmaite kolory, jako to: ponsowe, białe, fioletowe, żółte i zielone, z dziobami lwów, gryfów, łabędzi itp., które jak tęcza odbijały się w wodzie, a na każdej z tych łodzi po ośmiu wiosłarzy, w średniowiecznych strojach, w pióropuszech na głowie, przepasanych różnobarwnemi szarfami, zastosowanemi do koloru barki i ubrania. Wszystkie one otaczały jedną, przepysznie dekorowaną łódź pod baldachimem, z której jak płaszcz królewski spływał na fale szkarłatny dywan bogato bramowany złotem.

W barce tej siedział królewicz z żoną i uprzejmym ukłonem odpowiadał na radosne okrzyki ludu. Za tą wspaniałą flotylą, jak stada jaskółek pędziły setki najętych gondoli, prześcigając się wzajemnie, by zająć jak najbliższe miejsce obok łodzi królewicza.

Był to widok tak niezwykły, a zarazem tak fantastyczny, że zaprawdę zdawał się być snem na jawie. I dziś jeszcze, gdy po kilku latach przywodzę sobie tę chwilę na pamięć, zdaje mi się ona być raczej ustępem z jakiejś czarodziej-skiej baśni, niż odbiciem rzeczywistych wrażeń.

Wieczorem tego dnia spalono na wielkim kanale wspaniałe ognie sztuczne, — a plac świętego Marka, pyszny swą bazyliką, oświetlonymi al giorno sklepami i różnobarwnym tłumem który go napełniał po brzegi, do późnej nocy wrzał gwarem i życiem, które tu tylko w takiej pełni istnieć i objawiać się może.



W następnym roku Wielkanoc przypadła o wiele wcześniej, bo 2go kwietnia i jak w ubiegłych latach tak też i obecnie spędziłem ją w Wenecyi.

Gdzież na obczyźnie ma się czas pamiętać o tradycyjnych zwyczajach, o święconem, które

o tej porze mielibyśmy w domu, o dzieleniu się wielkanocnem jajkiem i tym podobnych drobiazgach, które tam, w ojczyźnie, urastają do znaczenia obrzędowego, a tu wśród obcych, uśmiech by tylko zapewne wywołać mogły.

Tak sądziłem — ale sądziłem mylnie.

W tym samym hotelu, w którym zazwyczaj od lat dawnych staję, w starej oberży Sandwirtha, przerobionej z dawnego pałacu San Angelo, na Riva degli Schiavoni, zamieszkali także dobrzy moi znajomi ze Lwowa, pp. Stefanowstwo Niemojowscy, z którymi naturalnie nie rozłączałem się ani na chwilę, korzystając skwapliwie z ich miłego towarzystwa.

Jakże przyjemnie byłem zdziwiony, gdy przy rannej kawie w pierwszy dzień Wielkanocy, odezwała się do mnie pani Niemojowska z przyjaznym uśmiechem.

— A proszę pana dziś o jedenastej do nas na święcone.

— Skądże je pani weźmie, — zagadnąłem, — boć trudno przypuszczać, byś je pani umyślnie sprowadzała ze Lwowa?

— Otóż widzi pan, jako przewidująca kobieta, przywiozłam ze sobą wieniec krakowskiej kiełbasy: ciast i szynki kupi się tutaj, a pan zajmiesz się sprokurowaniem naszych „pisanek“,

bez których przecież święcone obyć się nie może.

Udałem się więc zaraz do gospodarza hotelu i prosiłem, by na jedenastą godzinę kazał zgotować kilka jaj na twardo. Zdziwiony tem żądaniem, zapytał, na co ich potrzebuję, a gdy mu wyjaśnił nasz zwyczaj narodowy, pocziwy Tyrolczyk uściśnął mi rękę i rzekł z uczuciem:

— Das ist schön von Ihnen, dass sie die nationalen Gebräuche in Ehren halten!

Większe jednak było jego zdziwienie, gdy sam został zaproszony na święcone. Przyglądał się ciekawie sutej zastawie na stole, wśród której nie brakło tradycyjnego baranka, i tej zwiniętej w węża kiełbasie, i nam, dzielącym się jajem, — a już zdumienie jego doszło do szczytu, gdy grzeczna gosposia podeszła do niego z talerzem i podając jaje, wyraziła mu od nas wszystkich życzenia.

Niemiec był doprawdy wzruszony; a gdy pan Stefan napełnił kieliszki perlistym „Asti spumante“, nie dał mu przyjść do głosu, lecz powstał pierwszy i uroczystym tonem wzniosł toast na cześć „der edlen Polen“.

Wieść o tem polskiem święconem rozeszła się lotem błyskawicy w hotelu; służba szeptała o niem na korytarzach; głośno zajmowano się

niem przy tabldocie i z zajęciem wypytywano gospodarza o bliższe szczegóły.

Widziałem też, jak tego dnia każdy z przechodzących gości hotelowych, acz nie był oświadczeniem znany pani Niemojowskiej, przy spotkaniu się z nią składał jej ukłon pełen uszanowania, jakby dla stwierdzenia tej prawdy, że człowiek wtedy tylko wzbudza dla siebie istotny szacunek, gdy nie przestaje być sobą i nie zapiera się swoich tradycji, zwyczajów i narodowości.



Byłem dziś na Lido.

Jest to podłużna wyspa, a raczej piaszczysty wał w zachodnio południowej stronie Wenecji, sztucznie zamieniony w ogród i ochraniający miasto od fal Adryatyku, a na tej wyspie znajdują się słynne kąpiele morskie, których sezon rozpoczyna się z dniem 1 maja, a kończy dopiero w drugiej połowie października.

Wyspa posiada wygodne hotele, dobre restauracje, tramwaj konny dochodzący do morza, teatr, koncerty, oświetlenie elektryczne, słowem cały komfort europejski, to też zalicza się nie tylko do modnych ale i do wygodnych miejsc kąpielowych.

W chwili mego tu przybycia sezon był w całej pełni.

Kilkadziesiąt kabin kąpielowych było szczególnie zajętych, a brzeg morski mrowił się od kąpiących i ciekawych, którzy z lornetami przy oczach śledzili — nie wiem, czy rozbijające się o brzegi fale morskie, czy też wdzięczne ruchy nadobnych pływaczek, które, nie oddalając się zbyt od brzegu, z powodzeniem udawały morskie Syreny.

Nic ciekawszego nad ten tłum kuracuszów.

Tu gruba jak foka mama, śledzi czujnem wzrokiem rozbawioną córuchnę, która w kokieterijnym kostymie igra z falami nakształt złotej rybki; tam jakiś krótkowidz, nie mogąc dojrzeć nadbiegającej fali i przejąc jej na swe barki, dostaje w twarz jakby wiadrem wody i dopiero po tym wypadku przypomniawszy sobie, co zrobić pierwiej należało, składa spóźniony ukłon morskim bałwanom; tam znowu flegmatyczny Anglik zanurza termometr w wodę, patrzy na liczbę stopni, a dostrzegłszy, że nie dochodzą przepisanej ciepłoty, wraca poważnie do kabiny i przebiera się na nowo.

Takich obrazków masz tu pełno!

Dla tych jednak, którzy tu przybywają nie dla mody, ani dla sprezentowania kostyumów,

lecz dla rzetelnej kuracyi, kąpiele na Lido mają być bardzo skuteczne.



Podczas jednej z moich wycieczek do Wenecyi, miałem za towarzysza podróży pewnego prowincjonalnego aktora, który uciulawszy sobie trochę grosza, z małym zasobem wiadomości, lecz zato z wielkiem pragnieniem w duszy, wyjechał za granicę i spotkał się ze mną w wagonie kolei południowej, zdążającej z Wiednia do Pontebby.

Pan Myszyński, bo jakoś nazwać go trzeba, był obdarzony od natury sporą dozą wrodzonego dowcipu, to też nie mogłem być dość wdzięczny losowi, że mi go nadarzył na kompaniona podróży. Ale jak z jednej strony bawił on mnie swymi żartami i opowiadaniem przygód aktorskich, tak z drugiej zdumiewał bezgraniczną naiwnością, dla której zaiste brak mi określenia.

— To ta Wenecya doprawdy na wodzie?

— Tak, panie, i dlatego zowią ją królową Adryatyku.

— A po czem tam ludzie chodzą?

— No, naturalnie, że po ziemi, o ile ją mają pod nogami.

— To dorożek tam niema?

— Niema, panie, ani koni, ani dorożek.

— Ej, widzę, że mnie pan na kawał bierze. Jakżeby mogło być miasto bez dorożek?

W tym guście były wszystkie jego pytania i moje na nie odpowiedzi, które wkońcu na śmierćby mnie zanudziły, gdyby nie to, że ra-
dziłem sobie w ten sposób, iż zaczynałem po francusku rozmowę z moim sąsiadem, którego to języka pan Myszyński nie posiadał, a żenował się do tego przyznać.

To też w pierwszej chwili, nim mój Francuz domyślił się u niego tego braku, zwracał się kilka razy w rozmowie do pana Myszyńskiego, ale on wtedy udawał głęboko zamyślnego i nagle, jakby zbudzony, ni w pięć ni w dziewięć pośpiesznie odpowiadał:

— Pardon, pardon monsieur!

Francuz z początku nie wiedział, zaco go tak przeprasza, ale wkońcu domyślił się przyczyny i zostawił go w spokoju.

Niemale też było przerażenie pana Myszyńskiego gdy po przybyciu do Wenecyi i opuszczeniu dworca kolejowego, naraz usunął mu się stały grunt pod nogami, i zamiast spodziewanej dorożki, w której istnienie wierzyć nie przestawał, podpłynęła czarna jak noc gondola,

w której trzeba się było ulokować. Drżał jak w febrze, gdyśmy się cicho przesuwali przez „Canal grande“, spoglądał podejrzliwie na wiozącego nas gondoliera, ale przerażenie jego doszło do szczytu, kiedy wpłynęliśmy w szereg wązkich i ciemnych kanałów, gdzie dla skrócenia sobie drogi skierował się nasz gondolier.

— Panie! on tu nas utopi lub zamorduje! Panie, ja nie wytrzymam i wyskoczę!

— I dasz pan nurka w wodę, — mówiłem rozbawiony jego przerażeniem, — ale ostrzegam, że ratować nie będę, bo pływać nie umiem.

Po przybyciu do hotelu i ogarnięciu się z podróży, że to była dopiero druga godzina po południu, wyszliśmy na miasto oglądać jego osobliwości. Mój kompan dziwił się wszystkiemu: i wodzie i niebu, i mewom i gołębiom, mężczyznom i kobietom, a nadewszystko koniom na frontonie bazyliki św. Marka, z którymi jednak nie mógł się pogodzić.

— To nie ma sensu, — mówił — konie na kościele? toć to przecież nie jest stajnia.

— Ba, — żartowałem, — pan o tem nie wie, że to są konie od wozu proroka Eliasza, na którym został porwany do nieba.

— E! co pan gada! Eliaz był Żydem, a to przecie kościół katolicki.

— Niechno pan tak patryarchami starego testamentu nie pomiata, bo znajdziesz pan tu kościoły pod wezwaniem św. Joba, św. Jeremiasza, a nawet św. Mojżesza.

— Już co to, to przepraszam, ale widzę, że pan mnie chyba na jakiś kawał bierze.

— Ha, to chodź niedowiarku, a sam się o tem przekonasz naocznie.

Ponieważ kościół św. Mojżesza nie jest zbyt oddalony od placu św. Marka, więc w niespełna dziesięć minut byliśmy już w jego nawie, do której z pewnem wahaniem wstępował mój towarzysz, niebardzo pewny, czy go zamiast do kościoła nie prowadzę do bożnicy. Gdy jednak zobaczył krzyż w kruchcie, a groźnego prawodawcę Hebreów w głównym ołtarzu, rozwiały się jego wątpliwości i ku mojemu zdumieniu, ukląkł i modlił się przez chwilę.

— Co pana tak nagle wzruszyło? zapytałem.

— Ot, prosiłem św. Mojżesza, — odparł z faryzeuszowską miną, — by mię wziął w obronę przed lwowskimi Moškami, którzy mi nie dają spokoju.

— Dobrze się więc stało, że pana tu przyprowadziłem, bo przynajmniej wiesz teraz, do kogo się uciekać w potrzebie.

Od takich podróżników, jak mój Myszyński — a nie tylko należących do naszej narodowości, roi się zaprawdę w Wenecyi. Poznałem ich tu dużo. Przyjeżdżają oni popatrzeć na nią jak cieleća na nowe wrota i doprawdy, wcale stąd nie odjeżdżają mędrkami.



— Dziś wieczór będzie serenada na kanale!

Temi słowy powitał mię gospodarz, gdy z wędrówki po galeryach i muzeach, powrócił do hotelu i siadał do obiadu.

Wiadomość ta bardzo mię ucieszyła, zwłaszcza że o tych serenadach dużo już przedtem słyszałem, a nigdy dotąd, z powodu nieustannej słoty nie byłem ich świadkiem i nie miałem dokładnego wyobrażenia, jakto wygląda ów koncert na wodzie?

To też z uderzeniem dziewiątej godziny, gdy wystrzał armatami ze strażniczego okrętu w porcie dał hasło, że noc się zaczyna, siadłem do odkrytej gondoli i kazałem się wieźć na „Canal grande“.

Naprzeciw pałacu Dario, szacownej pamiątki starej Wenecyi, bo sięgającej XV wieku, stał olbrzymi galar, oświetlony dokoła papierowymi

latarniami, na którym mieściła się muzyka, akompaniująca chóralnemu śpiewowi męskich i kobiecych głosów. W pobliżu galaru lokowały się dyskretnie nadpływające gondole, każda z zapaloną latarką u dziobu, podobne do latających ogników, — a złudzenie to było tem większe, że czarny ich tułów rozpływał się w mrokach nocy i na ciemnej, jak ona, tafli wody, stawał się prawie niedostrzegalnym.

Z galaru rozbrzmiewał tymczasem dobrany chór dźwięcznych i harmonijnych głosów i wśród ciszy wiosennej nocy, daleko roznosił dźwięki żarem buchającej pieśni: *Io t'amo!*

Nic bardziej pociągającego nad ów śpiew uroczy, zwłaszcza o takiej porze i wśród takiej dekoracyi. To też zdawało mi się, że lada chwila ujrzę na balkonie pałacu Dario zjawisko młodej jakiej patrycyuszki i usłyszę z jej ust odpowiedź na namiętne zaklęcia pieśni, która tak wymownie błagała o jeden uścisk miłosny, o jedno miłosne spojrzenie.

Na przemian, to śpiew solowy, to znów chóralny unosił się w przestrzeni, poruszał do głębi serca i niezatarte zostawiał wrażenie. A nie były to głosy „wyszkolone“ — ale pełne świeżości i siły, a nadewszystko tego poczucia piękna, które jest wrodzone każdemu Włochowi.

Mówiono mi, że w ten sposób, łącząc się w stowarzyszenia śpiewackie, tutejsi studenci i młodzi malarze, dobrawszy do swego grona kilka kobiet, zarabiają na dalsze studia i kawałek chleba.

Jeśli tak jest w istocie, tom nie żałował tych paru lir, które wydałem na tę serenadę, bo przyczyniłem się nimi do dobrego celu.

Około północy, płynąłem z powrotem do hotelu, a za mną biegły jeszcze ostatnie echa tak popularnej a uroczystej jak modlitwa, pieśni: „Santa Lu-c-i-a!... Santa Lu-c-i-a!“...



Nie będę was oprowadzał po muzeach i kościołach, zwłaszcza że znawcą sztuki nie jestem; wspomnę wszakże o dwóch tutejszych kościołach „Frari“ i „San Giovanni e Paulo“, których nikt ze zwiedzających Wenecję pominąć nie powinien.

Kościół San Giovanni e Paulo wznosi się na placu tej samej co i on nazwy, a raczej sam mu jej od siebie udziela. Plac ten ma za ozdobę przepyszny konny posąg jenerała Coleoniego, z końca XVgo wieku, który zdobyte w służbie Wenecyi skarby, jej po swej śmierci przekazał,

i nic dziwnego, że wdzięczne miasto uczciło go pomnikiem, który należy do arcydzieł sztuki rzeźbiarskiej.

Sam kościół jest nad wszelki wyraz ciekawy. W nimto i we Frari, spoczywają prochy największych wodzów i najznakomitszych dożów Wenecyi. W San Giovanni znajdziesz pomniki Mocenigów, Vendraminów i Marcellich, a we Frari: Pesarów, Foscariów, Cornarów, a nade wszystko pomniki Tycyana i Canovy, z których pierwszy jest hołdem cesarza Ferdynanda austriackiego dla tego wielkiego artysty, drugi mieści w sobie serce Canovy i jest w części dziełem jego ręki.

A cóż dopiero mówić o tych skarbach sztuki, mieszczących się tutaj! Obrazy Tintoreta, Palmy młodszego, Tycyana i Veroneza, są dumą świątyni „Jana i Pawła“, — jak znowu rzeźby Donatella i prześliczna Madonna Belliniego, podziw wzbudzają we Frari.

A jednak rzecz szczególna: wobec tych arcydzieł sztuki stawałem niemy z podziwu lecz modlić się tutaj nie mogłem! — Te wielkie imiona i te wielkie glorie zbyt przygniatały myśl moją, bym mógł ją podnieść ku Bogu. I jakże inne, jak potężne swym tajemniczym urokiem wydawały mi się obrazy naszej Częstochowskiej

i Ostrobramskiej, o których chodzą legendy, że do odtworzenia ich rysów aż świętych rąk było potrzeba, wobec tutejszych Tycyanów i Veronezów, ponumerowanych w katalogach i ocenionych na wagę złota...

Te tutaj, jako dzieła sztuki podziwiam, a przed tamtymi przyklękam!



Przechodząc przez Mercerię, spostrzegłem na wystawie sklepowej pomiędzy piramidami pomarańcz, fig i daktylów, zapewne dla dodania apetytu, kartę pogrzebową następującej treści:

Antonio Pancini

*pierwszy rzeźbiarz świata,
zaszczyt miasta, chluba rodziny,
przeniósł się do wieczności.*

Uroczystość pogrzebowa odbędzie się itd.

Co u licha, pomyślałem sobie, że nigdzie tu nie widziałem dzieł tego artysty, który był przecie taką znakomitością! Zły i markotny na siebie za tę nieuwagę, natychmiast po powrocie do hotelu zacząłem szukać w opisie Wenecyi na-

zwiska pana Panciniego, — lecz żadnej o nim nie znalazłszy wzmianki, zwróciłem się do mego gospodarza z prośbą o wyjaśnienie.

— Pancini... Pancini? A, to ten kamieniarz z Campo San Bartolomeo!

— Kamieniarz? mówiłem zdziwiony: ależ to chyba pomyłka? Ten o którego się pytam, był przecie pierwszym rzeźbiarzem świata, chlubą Wenecyi.

— A skąd pan wie o tem? zapytał.

— Skąd? A no z karty pośmiertnej, którą dopiero co czytałem.

— Eh, mój panie, odparł z lekceważeniem: gdyby to wszystko było prawdą co się tu o nieboszczykach pisze, to Wenecya roiłaby się od pierwszorzędných znakomitości. Już to leży w miejscowym zwyczaju, że umarłemu nie żałują kadzidła, — a im ono silniejsze i bardziej odurzające, tem większa stąd płynie pociecha dla pozostałej rodziny.

Co kraj, to obyczaj, pomyślałem sobie; ale ten wypadek przypomniał mi, że nie zwiedziłem jeszcze tutejszego cmentarza, gdyż wciąż odkładałem ten zamiar aż do ostatnich dni mego pobytu w Wenecyi. A że już nazajutrz miałem stąd odejżdżać, nająłem więc gondolę i kazałem się wieźć w stronę *cimitero*.

Tutejsze „campo santo“ czyli po naszymu „Boża rola“ jest to samotna wysepka w północnej stronie Wenecyi, sąsiadująca z Murano, — rzucona na tle lagun jak zielona oaza, z gajem smętnych cyprysów, które według słów poety: „dumnie wznoszą do góry, kształt grobowej kolumny“.

Jeśli kto z moich czytelników widział reprodukcję obrazu „wyspy umarłych“ *Böcklina*, ten może powziąć niejaki wyobrażenie o tej miejscowości, która położeniem swoim i samotnością przypomina cokolwiek mistrzowskie dzieło helweckiego malarza.

Na cmentarzu, ozdobionem kwieciem i artystycznymi pomnikami, spoczywają zarówno tutejsi mieszkańcy jak i ci z przejezdnych, których tu śmierć zaskoczyła. A liczba ich dość znaczna, bo co chwila spotykałem napisy: „Ruhe sanft“ — „Priez pour lui“ a nawet i szept polskich głosów błagających o wieczny odpoczynek wzbijał się stąd ku niebu; słowem, ta „wyspa umarłych“ zdawała mi się być miniaturową doliną Jozafata, na której zgromadzeni ze wszystkich stron świata przychodnie, czekają na sąd ostateczny.

Zmówiwszy „Zdrowaś Marya“ za dusze zmarłych, pod dziwnem stąd odchodziłem wrażeniem...

I nie ochcę dociekać przyczyny, dlaczego przyszedł mi właśnie w tej chwili na pamięć ów smutny wiersz Słowackiego:

„Że nie wiem gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi Boże!“ ...



Była godzina 4ta nad ranem gdy opuszczałem Wenecję.

Z mroku nocy i z fal wody wyłaniały się jak cienie olbrzymów, po prawej mojej ręce pałac Dożów, ów „najdziwaczniej piękny i najpiękniej dziwny“ * pomnik minionej chwały i potęgi Wenecyi, — po lewej, długojęzyczny cypel *Dogany* i kościół della Salute. Przedemną rozlewały się ogromne przestrzenie wodne, w tej chwili jeszcze senne i nieruchome, bo zaledwie jednym wiosłem budzone do życia, zwężające się w kierunku wielkiego kanału a już wcale wąskie w sieci drobnych kanalików, w które łódź moja wkrótce wplynie.

Jakkolwiek co roku powracam w te strony dla dłuższego wypoczynku i odświeżenia umysłu, to wszakże za każdym razem żegnając z nie-

* Te słowa Deotymy o Artusowym dworze w Gdańsku, doskonale dadzą się zastosować i do tego pałacu.

wymownym żalem to dziwne miasto, które nad wszystkie inne silniej porusza struny duszy i jakimś odrębnym głosem przemawia do wyobraźni. Bo to pewna, że kto raz tylko widział Wenecję, ten już jej nigdy nie zapomni i jak Mickiewicz do swojej Maryli, tak on do tej oblubienicy Adryatyku, tęsknić będzie przez całe życie:

Nigdy więc, nigdy z tobą rozstać się nie mogę:
Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę.

I zapomina się o tej hałastrze z całego świata, która ją tu napełnia swym papuzim gwarem; o natręctwie tutejszych przekupniów; o tych żebrakach na Molo; a pamięta się tylko o jej przedziwnym uroku, o tych wspaniałych pałacach, o tych muzeach pełnych nieocenionych skarbów sztuki, o tych świątyniach które potężna rzeczpospolita potężnemu Bogu stawiała... Tem tylko ma się przepełnioną duszę i o tem się tylko pamięta, gdy się opuszcza Wenecję.

Widziałem tyle miast, zwiedziłem tyle krajów, byłem i w tym nowoczesnym Babilonie, który się Paryżem nazywa, a znikąd takich jak z tego „morskiego miasta“ nie wyniosłem wrażeń i żadnemu z nich tyle nie jestem winien wdzięczności.

O tak! Wenecya jest jedynem miastem o którego poznaniu marzy się, poznawszy podziwia, a po opuszczeniu, tęskni... I niedarmo to w przysłowiu ludowem nosi ona nazwę „la bella“ — a w pieśni „benedetta“.



PADWA

Każde niemal z większych miast włoskich, obok własnej nazwy, posiada jakiś przydomek, czy to wyróżniający je wśród ogólnej liczby miast, czy to wynoszący je ponad inne; więc Wenecya nazywa się „piękna“, Florencya „kwitnąca“, Genua „pyszna“, a Padwa „uczona“.

Padova la dotta.

Ze wszystkich tych przydomków nie ma zaszczytniejszego i bardziej usprawiedliwionego nad ten właśnie, który się dostał w udziale tej stolicy nauk. Wszak z zapalonego tu ogniska, tak szeroko rozchodziły się promienie światła, że ogarniały nie tylko najbliższe koła, ale ogrzewały i sąsiednie kraje. Wszak płynąca stąd chwała tego miasta, takie wszędzie budziła poważanie, że z dalekich stron schodzili się tu jak do ożywczej krynicy, łaknący wiedzy pielgrzymi, a wśród nich, nierzadko widziałeś najdalszego w owym czasie północnych stron mieszkańca, przybyłego tu z nad brzegów Wisły.

I dlatego właśnie to miasto przede wszystkim interesować nas powinno, bo my stąd rychlej niż z własnego spichrza, braliśmy pokarm duchowy.

Dużo też tu po nas zostało pamiątek, dużo śladów naszego pobytu, a z dumą podnieść możemy, dużo tej pocziwej sławy, która tradycją idąc z pokolenia w pokolenie, zjednywa nam i dziś jeszcze wśród Włochów, tylu życzliwych przyjaciół, jak może w żadnym innym kraju.

Uniwersytet padewski należy do rzędu najstarszych w Europie. Założony 1222 roku, na fundamentach dawnej austeryi, która za godło miała wołu, stąd często „il Bò“ zwany, rósł z latami w taką powagę i siłę moralną, że stał się niemal, jak owa Delficka świątynia, wyrocznią w dziedzinie umysłowej.

Do tej wyroczni, szeroką ławą szli od najdawniejszych czasów Polacy, a liczba ich wzrosła się wkrótce do takich rozmiarów, że już w XV wieku stanowili oni najliczniejszą falangę studentów i wśród młodzieży obcej narodowości zajmowali naczelne miejsce.

Według obliczenia dra Windakiewicza, w przeciągu niespełna półtrzecia wieku (1500—1741) kształciło się na uniwersytecie padewskim co najmniej cztery tysiące Polaków. Pokażna to liczba, wśród której znajdziesz synów najstarszych

rodzin w Polsce, dziedziców najgłośniejszych nazwisk!

Było wtedy zwyczajem, że studenci z pomiędzy siebie wybierali rektora; nierzadko też ta godność stawała się udziałem Polaków, a jednym z takich dostojników na tutejszym uniwersytecie był nasz Jan Zamoyski, późniejszy kanclerz i hetman wielki koronny. A należy wiedzieć, że godność rektorska nie była czczym tylko tytułem. Miał on i władzę znaczną i przywileje rozległe. Instalacya takiego dygnitarza odbywała się z wielką pompą w katedrze, gdzie odziewano go niby udzielnego księcia w purpurę, a jako oznakę władzy wręczano mu srebrne berło. Chodził on zawsze otoczony licznym orszakiem, niby król swoim dworem, a na uroczystościach publicznych zabierał miejsce tuż po biskupie i reprezentacyi miasta i miał nadto swój własny trybunał dla sądzenia spraw studenckich. Do dziś, w zbiorach muzeum padewskiego zachowała się, między zabytkami sfragistycznymi, dawna pieczęć studentów polskich, z herbami Rzeczypospolitej i z napisem w otoku: „*Sigilium natio: Poloniae et mag. Duc. Lit.*“

Gdy wchodzisz w podwoje tego gmachu, uderza cię przede wszystkim na wstępie biała, marmurowa tablica, uwieńczona żywymi splotami

lauru, a na niej wyźłobione nazwiska tych studentów, którzy w walkach za wolność ojczyzny, oddali za nią życie! Więc schylasz głowę przed tą wymowną litanią bohaterskich imion i gmach ten przestaje być dla ciebie wykładnikiem martwej tylko litery, lecz urasta w twych oczach do ideału katedry wolności.

Pod takim to uroczystym nastrojem, wkraczasz w progi tego uniwersytetu.

Zaledwie wszedłeś pod poważne krużganki otaczające dziedziniec uniwersytecki, a już uderzy cię mnóstwo rzeźbionych i malowanych tarcz herbowych, z godłami i nazwiskami dawnych studentów, którzy w ten sposób starali się utrwalić tu pamięć o sobie. Ale to mało jeszcze! Dopiero gdy wejdiesz na pierwsze piętro, do auli uniwersyteckiej, odniesiesz wrażenie jakbyś znajdował się w jakiejś komnacie rycerskiej, tyle na jej ścianach znajdziesz tych tarcz prastarych, tych godeł branych z ziemi i firmamentu, z fauny i flory, i tych głośnych później nazwisk wypisanych pod tymi tarczami, które gromko wołać będą do ciebie o cześć sobie należną. I patrzeć w nie będziesz jak w zwierciadło, bo w nich odbiła się i przeszłość dziejowa, i historia tego uniwersytetu, który był karmicielką tylu wieków i tylu pokoleń.

Więc mimowolnie oglądać się zaczniesz, czy wśród tych tarcz herbowych nie znajdziesz znajomych ci godeł polskich? Więc gorączkowo przerzucać będziesz album tutejszych studentów, aby się w nim doszukać znajomych imion. I z radością i tu i tam, spostrzeżesz godła lub nazwiska: Mikołaja Kopernika, Jana Kochanowskiego, Zamoyskich, Ostrorogów, Morsztynów, Oleśnickich, Łaskich, Tarnowskich, Działyńskich, Lubomirskich, Firlejów, Potockich, Ossolińskich, Sapiehów, Mnischów, Herburtów, Tęczyńskich, Sobieskich; doczytasz się królewskich nazwisk Stefana Batorego i Michała Korybuta Wiśniowieckiego, a obok nich wpadną ci w oczy imiona i gmerki mieszczan krakowskich i lwowskich, i serce twoje wzbierze dumą i radością, bo przekonasz się z tych kart i z tych godeł, że ziomkowie twoi w spółzawodnictwie o światło i wiedzę szli na równi z innymi narodami, a często nawet o krok je wyprzedzali.

A kiedy już nasycisz się widokiem tych tarcz herbowych i temi wspomnieniami które się z niemi wiążą, nowe czekają cię wrażenia. Oto tutejszy *custode* otworzy przed tobą drzwi niewielkiej komnaty i uroczystym głosem rzuci tylko te słowa:

— W tej sali wykładał Galileusz, a to jest jego katedra!

Więc drgniesz cały jakby pod uderzeniem iskry elektrycznej i mimowolnym ruchem zrzucisz kapelusz, bo jak tu stać z nakrytą głową, w tem uświęconem miejscu, gdzie tyle innych głów ze czcią się schylało? I przywiedziesz sobie na pamięć poważną postać tego genialnego męża, który nauce naszego Kopernika tak wielkie oddał usługi, który był jej gorliwym apostołem i który tu, w tej sali, wykładał zgoła nową wtedy naukę o ruchu i spadku ciał, wręcz przeciwną dotychczasowym prawom fizycznym Aristotelesa, które dotąd uchodziły za niewzruszone. Czas pobytu Galileusza w Padwie (1592—1610) jest epoką najświetniejszych i najdonioślejszych jego odkryć naukowych i tu się też narodził nowy dział wiedzy, zwany „dynamiką“, którego twórcą był Galileusz.

Jakież jednak ogarnie cię zdumienie, gdy uprzymniwszy sobie i wielkość tego męża i genialne jego odkrycia, rzucisz okiem na katedrę z której on wykładał. Nic nad nią skromniejszego! Proste, od siekiery jak to mówią, obrobione drzewo, nawet nie ręczę czy ogładzone heblem stolarskim, składa się na ten sprzęt ubogi, z którym zazwyczaj łączymy pojęcie majestatu

nauki i dostojności nauczyciela, a więc i tę mównicę profesorską wyobrażamy sobie całkiem inaczej. A przecież ta ubożuchna, bez żadnych ozdób katedra wielkiego Galileusza, silniejsze na nas robi wrażenie, niż tron niejednego z dawnych mocarzów tej ziemi, bo była ona stolicą mocarza ducha, bo na niej geniusz królował.

To też nie dziw, że po naukę do takich mistrzów garnięto się tutaj ze wszystkich stron świata; tu ją pobierał Krzysztof Kolumb, tu pierwsze rymy składał Torquato Tasso... A nie tylko rodzaj męski, lecz i płeć piękna szukała tu eliksiru wiecznej młodości dla ducha i wśród studentów padewskiego uniwersytetu w XVII wieku, widzimy słynną z piękności Lukrecję Cornaro-Biskopia, której pomnik z białego marmuru zdobi wejście do tej świątyni nauk, a napis objaśnia, że uzyskała tu ona stopień doktora filozofii. Była to osoba niezwykle uzdolnienia; oprócz włoskiego, posiadała ona sześć innych obcych języków, a w nauce astronomii, fizyki i matematyki okazywała taką biegłość, że wprowadzała w zdumienie współczesnych. Dla nas jej imię nie powinno być obce: była ona bowiem korespondentką i gorącą wielbicielką Jana III., któremu z okazji zwycięskiej odsieczy Wiednia, poświęciła osobny poemat. Niechże

więc Polak zwiedzający te miejsca wie o tem i uczci jej pamięć bodaj westchnieniem za jej duszę.



W pobliżu uniwersytetu, po przeciwnej stronie ulicy, znajduje się słynna na całe północne Włochy kawiarnia Pedrocchio. Jest to wspaniały gmach z ciosu i marmuru, wzniesiony specjalnie dla amatorów mokki, którego właściciel, bajeczne w jego budowę włożywszy sumy, wślawił się nim po wieczne czasy. Kawiarnia ta i z tego jeszcze jest głośna, że była ona kamieniem obrazu dla biskupa Canowy. Gdy bowiem ten purpurat, znany ze skąpstwa i chciwości, sprzedał Anglikom kilka rzeźb swego genialnego brata, który je podobno w testamencie przeznaczył dla kościoła w rodzinnej wiosce i zysk stąd osiągnięty obrócił na własną korzyść: Pedrocchi oburzony tym faktem, zamknął drzwi swej kawiarni przed chcącym ją zwiedzić biskupem i oświadczył, że nigdy nie wpuści za próg swego domu człowieka, na którym ciąży taki występpek!

Zwróciwszy się od tej kawiarni w ulicę dei Servi a potem na via di Torricelle, wyjdziemy na ów słynny plac Wiktora Emanuela, zwany

do niedawna jeszcze Prato della Valle. Plac ten z tego względu godzien jest naszej uwagi, że w liczbie 82 posągów zdobiących podwójnym rzędem olbrzymi klomb zieleni rzucony na środku tego placu, znajdują się postacie Stefana Bato-rego i Jana Sobieskiego. Wzniósł je w tem miej-scu ostatni król polski, Stanisław August, dla upamiętnienia pobytu tych poprzedników swoich na uniwersytecie w Padwie. Że Batory znalazł się tutaj, to nas bynajmniej nie dziwi; ale król Jan IIIci nie był wcale studentem padewskim, tylko jeden z jego imienników, a mianowicie Tomasz, który tu nawet w r. 1616 piastował godność rektora. Z powodu tej omyłki, dotąd chlubi się Padwa, że wykołysała młodość wiel-kiego króla i bohatera! Na nas, choć wiemy o tem, widok tych drogich sercu naszemu po-staci, otoczonych wieńcem tylu innych znako-mitych mężów, robi nad wyraz podniosłe wra-żenie i mimowoli błogosławimy nieświadomość króla Stanisława, bo te dwa pomniki wzniesione przez niego, przyczyniają chluby i chwały imie-niu polskiemu.



Jak św. Marek w Wenecyi, Piotr apostoł w Rzymie a św. January w Neapolu, tak tu w Pa-

dwie, ba, nie tylko w tem mieście ale w całych górnych Włoszech, panuje niepodzielnie św. Antoni. Cześć jaką on odbiera jest niemal boska; to też jak Bóg, on jeden wśród grona świętych jest bezimienny, i dość powiedzieć „il Santo“ aby wiedzano o którym z mieszkańców sfer niebieskich jest mowa. Do kościoła pod jego wezwaniem prowadzi ulica, na której zamiast nazwy czytasz napis: „al Santo“ (do świętego), słowem wszystko co się do tego mocarza niebios odnosi, jest tu pełne tego tajemniczego kultu, który wymownie świadczy o tej czci niepodzielnej jaką ten święty odbiera.

Nim wszakże wstąpimy w progi bazyliki św. Antoniego, nie od rzeczy będzie dowiedzieć się, kim on był pierwaj zanim wielkie cnoty, żywot świątobliwy i świadectwa licznych cudów, znie-woliły Grzegorza IX. do jego kanonizacyi. Ze zdziwieniem naprzód usłyszemy, że imię Antoni, nie jest bynajmniej chrzestnem imieniem tego świętego, ale przybranem znacznie później, bo dopiero w zakonie franciszkańskim, a za świeckich swoich czasów nosił on imię Ferdynanda. A jeszcze większe ogarnie nas zdumienie, gdy się dowiemy, że ten święty, odbierający tak wielką i tak powszechną cześć we Włoszech, bynajmniej nie był Włochem — ale Portugalczy-

kiem. Dopiero około 30 roku życia, przybył on z Lizbony do Assyżu i wstąpił w szeregi uczniów św. Franciszka. Jego zaparcie się, pokora, świątobliwość i dar porywającej wymowy, zniewalały dlań wszystkie serca i zjednały mu za życia przydomek „apostoła ewangelii“. Na krótko przed śmiercią przybył on do Padwy, gdzie też w 1232 roku mając lat 36 zakończył doczesne życie.

Owa bazylika św. Antoniego, jest to ogromna świątynia w stylu gotycko-bizantyńskim, a więc niejednolita i nieharmonijna, o przysadzistych kopułach, które z daleka robią wrażenie wato-
wanych mycek i mocno rażą nasz zmysł estetyczny. Z tem wszystkiem, postponować jej nie można, bo jest ona dziełem Mikołaja Pisana, który podobno za te grzybki nasadzone na jej szczycie, do odpowiedzialności pociąganym być nie może. Są to późniejsze dodatki i upiększenia, niby owe niedźwiedzie usługi oddane sławnemu architekcie, który w liczbie tytułów do chlubnej pamięci u potomnych, ma tytuł „zwiastuna odrodzenia“. Rozległe wnętrze świątyni jest otoczone szeregiem kaplic, z których jedna zwłaszcza, a mianowicie ta, gdzie spoczywają w ołtarzu relikwie św. Patrona Padwy, jest nad wszelki opis szacowna i bogata.

Ciekawi zapewne jesteście, jak ona wygląda? A więc w pośrodku znajduje się wolno stojący ołtarz, w stylu renesansowym, wsparty na czterech kolumnach i obwieszony dziękczynnymi wotami od tych, którzy w tem cudownem miejscu doznali łaski świętego. Dwa olbrzymie, srebrne kandelabry przedziwnej roboty, podtrzymywane przez aniołów wykutych w marmurze, stoją po obu rogach ołtarza, a dziewięć marmurowych tablic, opowiada w rzeźbionych dłutem obrazach historię życia i cudów św. Antoniego. Zawsze jest tu pełno modlącego się ludu, a msza jedna za drugą odprawia się tu od świtu do południa, już to jako ofiara dziękczynna, już to na intencję błagalną.

Wiedziałem, że w tym kościele znajduje się ołtarz św. Stanisława, fundowany w 1592 r. przez studentów polskich uczęszczających na tutejszą wszechnicę, a niemniej i kilka nagrobków spoczywających tu Polaków. Po zwiedzeniu więc kaplicy św. Antoniego, prosiłem oprowadzającego mię „custode“, by mi jedno i drugie pokazał. Widząc moje zainteresowanie się, zapytał, do jakiej należę narodowości? a gdy mu ją wymienił, zawołał z żywością:

— To pan ma w naszym klasztorze rodaka! *Padre Giovanni Warchal* jest spowiednikiem

polskim, może więc zawiadomić go o pańskiej bytności?

Skwapliwie przyjąłem propozycję i wręczyłem kościelnemu bilet wizytowy.

Za chwilę zjawił się zakonnik o nader sympatycznej i wyrazistej twarzy, w którego rysach obok klasztornej pokory malowała się, miarkowana wrodzoną słodyczą, stanowczość i energia, a który pozdrowiwszy mię staropolskiem „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, serdecznie uściśnął moją rękę.

— Służę panu, rzekł uprzejmie, jako przewodnik po tym kościele. Kaplicę św. Antoniego już pan zapewne zwiedziłeś, bo tam każdy z pielgrzymów najpierwej swe kroki kieruje; więc ja panu pokażę inne pamiątki, a może i rady pańskiej zasięgnę.

Przedewszystkiem cześć grobom!

W podziemiach tego kościoła spoczywają wiecznym snem uśpieni: Kretkowski Erazm † 1558, Ponętowski Mikołaj † 1598, Żaliński Adam † 1603, Miński Stanisław † 1607, Sapieha Aleksander † 1619, Ubaldini Stefan † 1621, Kański Jędrzej † 1636, Sapieha Krzysztof † 1637, Wąsowicz Dunin Juliusz † 1833 i księżna Jabłonowska Karolina † 1840 r. Kilku innych Polaków posiada tu swoje tablice pamiątkowe. Niechże więc im

wszystkim światłość wiekuista świeci, boć całe ich doczesne życie było dążeniem do światła.

— Widzi pan — ciągnął dalej ks. Warchał — ten ołtarz św. Stanisława biskupa? Niedługo stąd przyjdzie go usunąć, gdyż cały kościół ma być przywrócony do pierwotnego stylu i wszystkie późniejsze dodatki, psujące ogólną harmonię, ulegną skasowaniu. Gdy w r. 1895 zapadł taki wyrok, trzeba było corychlej pomyśleć o ratowaniu tych drogich sercu naszemu pamiątek. Westchnąwszy o pomoc do Boga, zakolałem w następnym roku do ofiarności rodaków. Gorąco przedstawiłem im potrzebę ufundowania kaplicy polskiej i przekazania potomnym tradycyi o nas, która przez tyle wieków tu się przechowywała. Bóg szczęścił moim usiłowaniom. Pierwsza składka na polską kaplicę, był to grosz prawdziwie wdowi, 60 fenigów, ofiarowanych przez pielgrzyma z Poznańskiego. Dalsze ofiary były hojniejsze i oto dziś jestem w tem szczęśliwym położeniu, że mogę już przystąpić do wykonania mego dzieła. Pragnę mieć kaplicę o charakterze polskim, a więc z naszą Częstochowską i Ostrobramską, z naszym Biskupem męczennikiem, z obrazami wykonanemi na ścianach *al fresco* i to broń Boże nie przez innego malarza, tylko przez Polaka.

— A masz-że ksiądz już kogo *in petto*? — zapytałem.

— Wyboru jeszcze nie zrobiłem, boć i on w ostatniej instancyi nie zależy ode mnie, tylko od komitetu znawców, na którego czele stoi architekt tutejszy p. Kamil Boito. Ale na moją odezwę zgłosiło się już kilku artystów polskich, wśród których gorąco swe usługi i talent poleca p. X. ze Lwowa.

— Zmiłuj się ojcze! — zawołałem naprawdę przestraszony, — wszak to nie żaden artysta, ale zaledwie początkujący amator, którego obrazów na żadną wystawę nie przyjmują!

— Nie wiedziałem o tem — odparł ksiądz Warchał, a że podaje najprzystępniejsze warunki i powołuje się na znaczną liczbę obrazów malowanych przez siebie, więc nawiązałem już z nim korespondencyę.

— To ją ksiądz rozwiąż coprędzej, bo inaczej ów pan gruntownie całą sprawę skompromituje.

— A kogoż pan radzisz powołać? — zapytał naprawdę zakłopotany ksiądz Warchał.

— Radzić się nie ośmielę, ale rekomendować mogę. Ponieważ znam dobrze tylko lwowskich malarzy, więc polecam p. Tadeusza Popiela, którego talent wysoko cenię a o sumienności jak najchlubniejsze mam przekonanie.

Kiedy w kilka lat po tej rozmowie, a mianowicie w r. 1900 zwiedzałem ponownie bazylikę św. Antoniego, i jak przedtem miałem za przewodnika czcigodnego księdza Warchała, prawił on mi dalej o tej polskiej kaplicy, dla której teraz specjalnie tu przybyłem.

— Uroczysty to był dzień dla mnie — mówił wzruszony ksiądz Warchał — gdy rankiem 14 marca 1899 roku, przyjaciel pański, pan Popiel, wszedł z farbami i pędzlami do tej kaplicy. W pierwszych miesiącach praca szła mu nie-
sporo, bo i czas był wilgotny i technika malowania zupełnie dla niego nowa. Wielki jednak jego talent, poczucie odpowiedzialności i ogromny zapał, przewyciężyły wkrótce przeszkody i dalsza robota szła już jak z płatka. W końcu września, a więc po półrocznej pracy, kaplica była zupełnie ukończona, a komisya kolaudacyjna z panem Boito na czele, nie miała dość słów pochwały dla polskiego artysty i dla jego dzieła.

Ale to dzieło w połowie dopiero było ukończone: brakowało ołtarza, posadzki i krat wchodowych, lecz co najważniejsza, brakowało na to wszystko funduszków, bo grosz dotąd zebrany wyczerpał się zupełnie. Po raz więc ostatni za-
kołatałem do ofiarności moich współziomków;

Bóg znowu szczęścił, i patrz pan, w kaplicy nie już nie brakuje!

Staliśmy właśnie przed nią: ksiądz ze złożonymi, jak do modlitwy rękami a ja wzruszony ogromnie. Bo też ta kaplica przeszła najsmielsze moje oczekiwanie. Prowadzi do niej krata z kutego żelaza, ozdobiona godłami polskimi z napisem u góry:

*Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Przyjmij ofiary synów polskiej ziemi,
Świeć wiekuiście nad braćmi zmarłemi.*

i wolno stojącym na środku marmurowym ołtarzem św. Stanisława biskupa. Ściany kaplicy, malowane przez Popiela, przedstawiają: po lewej ręce wskrzeszenie Piotrowina, a po prawej: odnalezienie zwłok św. Stanisława. W górze, po lewej, aniołowie unoszą obraz Najświętszej Panny Ostrobramskiej, a po prawej, nasza Częstochowska, ta prawdziwie rycerska Patronka polskich rycerzy, z porąbanem od miecza obliczem, schodzi w otoczeniu aniołów, pomiędzy wierny sobie lud polski. Ten obraz jest arcydziełem pana Popiela, tak pod względem pomysłu, jak i wykonania.

Długo stałem w tej kaplicy i dużo myśli przemknęło przez moją głowę. Ksiądz modlił się

u ołtarza, a ja, patrząc na tę schyloną postać zakonnika, widziałem w nim wcielenie ogromnej wiary, która góry przenosi, bo zaiste, nie małej trzeba było ufności w Bogu, nie mało wytrwania, które wiara daje, aby pokonać wszystkie te trudności, jakie ks. Warchał miał do zwalczenia.

— Naśmiewano się ze mnie — opowiadał — gdym się zabierał do tej pracy; wielu ganiło nawet myśl moją, a nikt nie wierzył w jej wykonanie. Perswadowano mi, że kraj nasz ubogi, że ma pilniejsze u siebie potrzeby, niż tam gdzieś w Padwie budowanie kaplicy dla św. Stanisława, słowem na każdym kroku oblewano mię zimną wodą. Ale Bóg strzegł mię od zniechęcenia i Jemu też niech będą dzięki za łaskę, którą mnie wspierał!

Tu zamilkł ks. Warchał, a ja raz jeszcze rzuciłem okiem na tę kaplicę, chcąc dobrze uprzytomnić sobie wszystkie jej szczegóły i z uczuciem serdecznej czci i wdzięczności uściśnąłem rękę zacnego kapłana, który przy rozstaniu rzucił mi jeszcze te słowa:

— A nie zapomnij pan, po swoim powrocie do kraju zaapelować do rodziny Zamoyskich o biust ich przodka, Jana Zamoyskiego, niegdyś rektora tutejszej akademii. Chciałbym pamiątkę

jego posiadać w tej kaplicy, zwłaszcza, że jak raz będzie ona odpowiadała biustowi Erazma Kretkowskiego, który jak pan widzisz, już tu się znajduje...

Przyrzekłszy zająć się tą sprawą, rozstałem się z moim przewodnikiem, który na tej obcej ziemi, uprzytomniał mi wszystko co polskie: i obyczaj nasz dawny i gorącą wiarę naszych praojców...



W opisie Padwy, szło mi przedewszystkiem o zwrócenie uwagi czytelników na pamiątki polskie, szczodrze w tem mieście rozsiane. Wywiązawszy się, choć pobieżnie, z przyjętego zadania, już was prowadzić nie będę ani do kaplicy pod wezwaniem „Madonna dell’ Arena“, gdzie się znajdują młodzieńcze a dość już podniszczone freski Giotto; ani do muzeum miejskiego, gdzie mnie najwięcej zajęły wykopaliska rzymskie, bo tutejsza galerya obrazów nie może iść w porównanie z weneckimi zbiorami; ani wreszcie do ogrodu botanicznego, choć on dla wielu rzadkich roślin godzien jest widzenia, — bo to wszystko nie leży w granicach zakreślonych mej pracy, a jak wiadomo, wszelkie ustanowione granice szanować należy.

Więc bywaj mi zdrowa o Padwo! Żegnam cię tem staropolskiem pozdrowieniem, boś ty dla naszych pamiątek tak licznie tu nagromadzonych, najbliższa mojemu sercu; bo z ciebie szła moc i światłość duchowa; boś ty jedyna pomiędzy miastami, do której najtrafniej zastosować można słowa naszego wieszczą: „Ojczyzno nauk, ty jesteś jak zdrowie!“



WERONA

Nie tylko ludzie, ale i miasta żyją wspomnieniami. Im które w nie bogatsze, im obfitsze ich źródło, tem większe budzą zainteresowanie, a są i takie, do których umyślnie przyjeżdżasz, aby się wsłuchać w bijące w nich tętno, aby z ich dziejów zaczerpnąć pokarm na dalszą wędrówkę po świecie.

Nikt się też nie zdziwi, że niemałego doznałem wrażenia, gdy po zatrzymaniu się pociągu, konduktor otwierając z trzaskiem drzwi wagonu, donośnym głosem zawołał: Werona!

A więc, pomyślałem sobie, jestem w tem mieście, które chlubi się jedną z najciekawszych pamiątek dawnych czasów, bo starą, rzymską areną; które na tle wieków średnich utkało barwną i wzruszającą historję miłości Romea i Julii; które wreszcie w najbliższych nam czasach, bo w epoce napoleońskiej, kiedy to ów groźny bóg wojny:

Wprzagliwszy w swój rydwan orły złote obok
[srebrnych,
Od puszczy Libijskich latał do Alpów podniebnych

widziało na swych murach okrytych kurzawą wojenną polskich legionistów. I gdym przez starożytne „Porta de Borsari“ wkraczał w środek miasta, a mianowicie na plac „delle Erbe“, owo starożytne forum rzymskie, to mi się zdało, że widzę stojącego sztyldwacha, w granatowej kurtce, w rogatywce na głowie, marzącego o tem, jak to on z nad brzegów Adygi, przejdzie w niedługim czasie i Wisłę i Wartę i podąży do oczekujących go w ojczyźnie braci, których nauczy jak wojować mają...

A wojował on w tych stronach niemało i niemało też krwi polskiej wsiąkło w te werońskie pola, niemało jej popłynęło z biegiem Adygi i Mincio, a na murach Werony, gdybyś je zbadał dokładnie, niejedną znalazłbyś rdzę z krwi polskiej.

Dwukrotnie pod tymi murami rozgrzmiewał oręż naszych legionistów: raz, w roku 1797, gdy im kazano wśród morderczego ognia zdobywać miasto i uśmierzać wybuchłą w niem rewolucję, — drugi raz w roku 1799, gdy przyszło odbierać Weronę z rąk Austryaków i wręcz ścierać się z nimi, w którym to starciu 750 wiarusów legło na polu walki. Wtedy to legion polski swoją odwagą i pogardą śmierci, w takie zdumienie wprowadził walczących obok siebie

Francuzów, że kiedy schodził z linii bojowej, to żołnierze francuscy salutowali go i pozdrawiali okrzykiem: „*Vivent les braves Polonais!*”

A jednak, choć tym bojom tak świetne towarzyszą wspomnienia, choć je otacza poezya odwagi i bohaterstwa, smutno się robi w sercu na wspomnienie tej krwi napróżno przelanej, na widok tych wawrzynów, które tak marnie powiędły.

Cóż więc tych ludzi wypędzalo z ich ognisk domowych? jaka moc przenosiła ich z mazowieckich równin na lombardzkie pola? czemu „gromili nieszczęśliwych — nieszczęśliwi sami?”

Na to wszystko daje nam Mickiewicz wzniosłą odpowiedź, która jest dla nich chlubą i ekskuzą:

Polak, chociaż stąd między narodami słynny,
 Że bardziej, niżli życie, kocha kraj rodzinny:
 Gotów zawždy rzucić go, puścić się w kraj świata,
 W nędzy i poniewierce przeżyć długie lata,
 Walcząc z ludźmi i losem, póki mu wśród burzy
 Przyświeca ta nadzieja, że Ojczyźnie służy.

A że im ona zawsze przyświecała, niechże więc i tutaj, nad tą ich wielką mogiłą, nie gaśnie nigdy słońce chwały i nadziei.



Lecz w górę serca! bo oto mam mówić o miłości, o tej potężnej pani i władczyni świata, która panując nad nim wszechwładnie, tu właśnie przed wieki obrała sobie stolicę.

Tak jest, Werona jest stolicą miłości; tu bowiem rozegrał się wzruszający dramat dwojga serc, ów słynny romans Romea i Julii, który opiewali najznakomitsi poeci wszystkich krajów i wieków, a któremu geniusz Szekspira zapewnił nieśmiertelność.

Dziwne to miasto ta włoska Werona,
I ta fantazyja ludu różnowzóra;
O pięknej Julii brzmi tu każda strona,
Jakby to było nie dawniej jak wczora.
Tu, w tym ogrodzie i z tego tu ganka,
Kochanka nasza żegnała kochanka.
Tam, na ramiona czarownej istoty,
Wietrzyk zapędził Romea płaszcz złoty.
Tu ich widziano, jak w cyprysów cieni,
U stóp posągu stali zamyśleni...
Nie wierzysz? wszyscy przysięgną w Weronie.
I więcej nad to: idź w ciemne ogrody,
Kiedy tam w cieniach słowik się rozszłocha,
Dowiesz się w pieśni, jak to Włoszka kocha! *

Oto stoimy przed domem Capulettich, rodziców Julii. A choć on nie ma pozoru pałacu, owszem, wygląda nie tylko skromnie, ale nawet

* Lenartowicz, w wierszu p. t. »Werona«.

ubogo, to wszakże związane z nim wspomnienia tyle mu dodają uroku, że nie rażą cię ani jego poczerniałe mury, ani brak wszelkiej na nich ozdoby, bo miłość, to dawna jego mieszkanca, ozłociła go swym blaskiem i ozdobiła swą pięknoscią.

Dzieje tej miłości zbyt wszystkim są znane, abym je tu powtarzał, — jak niemniej, nikomu nie jest obca nienawiść, jaką ku sobie pałały rodziny Capulettich i Montechich, co było właśnie przeszkodą do wzajemnego połączenia się ich dzieci, a w rezultacie powodem ich tragicznej śmierci.

Więc Romeo ukradkiem tylko mógł widywać Julię. I oto spostrzegamy go właśnie, gdy przy blasku księżyca, błądzi w ogrodzie Capulettich pod oknami kochanki i oczekuje upragnionego od niej znaku.

W tem nagle coś błysnęło przez okiennic dwoje :

To ona, pani moja ! O, kochanie moje !

To wschód słońca, — a słońcem są Julii lica.

Wnijdź o prześliczne słońce na zgubę księżyca,

Już ta bogini zbladłe odwraca jagody,

Ujrzawszy nimfę ziemską celniejszej urody !

Gdyby ona wiedziała, że ją kocham tyle !

Mówi, ale nie usta ; zaczekajmy chwilę.

Mówi okiem ; w mem sercu odpowiedź gotowa ;

O ! zbyt chępliwy jestem, nie do mnie to mowa,

Dwie gwiazdy w pilnej kędyś posłane potrzebie,
 Proszą oczu Julii, by raczyły w niebie
 Świecić, nim gwiazdy wrócą i znowu zaświecą.
 I cóż jeśli jej oczy do niebios ulecą?
 I cóż jeżeli gwiazdy błysną wśród jej czoła?
 Blask oblicza Julii gwiazdy zaćmić zdoła,
 Jako dzień gasi lampy; a niebo jej okiem,
 Powietrzną jasność takim lałoby potokiem,
 Że ptaki w dzień w omylnym witałyby dźwięku.
 Tyś moim aniołem,
 Ty wśród cieniów północy świecisz nad mem
 [czołem,
 Jak wysłaniec niebieski, kiedy się roztoczy
 Srebrzystem skrzydłem rażąc śmiertelników oczy.
 Zaledwie spojrzeć śmieją, on dosiadł obłoku
 I lekko w nadpowietrznym żegluję potoku.

Od tego domu, położonego przy ulicy Capello,
 w którym kochankowie po raz ostatni widzieli
 się ze sobą, przejdźmy, na przeciwległy koniec
 miasta, gdzie w głębi dziedzińca dawnego kla-
 sztoru Franciszkanów, kryje się domniemany
 grobowiec Julii.

Stoi on w samym końcu podwórza, w otwar-
 tej kapliczce, a gdym go zwiedzał po raz pierw-
 szy w r. 1897, był on w takim zaniedbaniu
 i poniewierce, że najprzykrzejsze sprawił na
 mnie wrażenie. Wszakże w kilka lat potem, gdy
 znowu tu przybyłem, znalazłem już odbudowane
 naokoło kapliczki filary, nową posadzkę w miej-

sce dawnych wybojów i starannie utrzymany ogródek, z którego subtelna woń alpejskich fiołków i lewkonij, biła jak z kadzielnicy, ku czci tego grobowca miłości.

Sam grobowiec, jest to otwarta, kamienna skrzynia, która mogła być tak dobrze miejscem spoczynku dla córki Capulettich, jak też mieścić w sobie zwłoki jakiegoś średniowiecznego mnicha, bo tylko przywiązana do tego miejsca legenda, żadnym zresztą dokumentem nie poparta, chce mieć w tej kaplicy grobowiec Julii.

Ale że z tą legendą tak temu miejscu do twarzy, że nie tylko odpowiada ona czułym sercom, ale wprost staje się dla nich potrzebą — więc nie myślimy jej autentyczności dociekać, a tem bardziej obalać.

Wnętrze grobowca napełnione jest tysiącem kart wizytowych, które tu, czułego serca pielgrzymi, a zwłaszcza piękne pątniczki składają, — i te właśnie pośmiertne wizyty, z oznajmieniem nazwiska odwiedzającej osoby, z zagiętym często rogiem na bilecie wizytowym, są jedyną humorystyczną stroną tego ze wszech miar szanownego miejsca.



Od tego grobu, przejdźmy do innych: od grobowca Julii, chodźmy pokłonić się grobom Scaligierich.

Kto byli ci Scaligierowie?

Była to potężna rodzina dawnych panów Weroni, która tu władała blisko przez półtora wieku, a której założycielem w 1260 roku był *Mastino I della Scalla*. Najpotężniejszym wszakże przedstawicielem tego domu, był Cangrande I. (1311 — 1329) rozumny władca i szczęśliwy wojownik, którego tytuł do sławy zwiększył się i przez to jeszcze, że dał on na swoim dworze schronienie Dantemu, który też imię jego unieśmiertelnił w „Boskiej komedyi“. Rychło jednak następcy jego skalali odziedziczoną świetność szeregiem zbrodni i niegodziwości, i upadli w roku 1387 w walce z Medyolańskim domem Viscontich, który ich wyzuł z władzy i dziedzictwa.

Do tych więc grobów, mieszczących się tuż przy kościele *Santa Maria antica*, podążałem skwapliwie i to com ujrzał, przeszło wszelkie moje oczekiwanie. Wyobraźcie sobie stojące pod otwartem niebem grobowce, jedne, niby potężne bloki skalne wpuszczone w zewnętrzną ścianę kościoła, inne, jak rzeźbione kaplice, a inne jeszcze w formie sarkofagów spoczywających pod baldachimem z marmuru. A to wszystko

okryte sędziwą patyną wieków, wspomnieniem chwały lub klątwą historyi, a będziecie mieli pojęcie o wrażeniu, jakie z tego miejsca wyniosłem.

Długo przyglądałem się tym napół grobowcom, a napół pomnikom, a w każdym razie niepowszednim dziełom sztuki, pragnąc zatrzymać w pamięci ich kształty i ozdoby — a choć kilka z nich przechodziło wspaniałością inne, jak ów grobowiec Mastina II-go dłuta Perina da Milano, lub ten drugi, Can Signorio della Scalla, cały z białego marmuru, stanowiący jakby narożnik ulicy, to wszakże uwagę moją uwięził tylko sarkofag Cangrande I-go, z którego imieniem złączyło się nazwisko Dantego.

I gdym stąd w powrotnej drodze do mego hotelu przechodził przez plac delle Erbe, to zdało mi się, że widzę przesuwający się po nim cień poety i słyszę głosy strwożonych przekupek jarzyn, które na jego widok żegnały się i szeptały ze strachem:

— Patrzcie! oto jest człowiek, który dopiero co z piekieł powrócił.



Najszacowniejszym wszakże zabytkiem dawnych wieków, którym nie darmo chlubi się We-

rona, jest rzymski amfiteatr, powszechnie Areną zwany, z czasów Dyoklecjana, a więc z końca III. wieku po Chrystusie. Liczy więc ten ciekawy zabytek rzymskiej architektury, ni mniej, ni więcej, tylko 1600 lat istnienia, — nie dziw więc, że w każdym z przyjezdnych budzi niezmierną ciekawość i zajęcie.

Ci, co widzieli Colosseum w Rzymie, utrzymują, że wprawdzie tamto przewyższa ogromem werońską arenę, ale tutejszy amfiteatr jest daleko lepiej zachowany i daleko jaśniejsze daje pojęcie o swoim przeznaczeniu.

Te areny były to miejsca publicznych widowisk u starożytnych, na których, w miejsce dzisiejszych dramatów pomiędzy dwojgiem kochanków, rozgrywały się krwawe tragedye między dzikimi zwierzętami, a rzuconymi im na pastwę niewolnikami; gdzie w śmiertelnych zapasach mordowali się wzajemnie, wprawiani umyślnie do tej gimnastyki, gladyatorzy; gdzie wreszcie, z taką pogardą dla śmierci a wiarą w przyszłe życie, szli na męczeństwo pierwsi chrześcijanie.

Czy werońska arena, tak jak jej rzymska siostrzyca, pławiła się we krwi chrześcijańskiej, kroniki tego nie zapisały. Ale, że to się działo za panowania cesarza Dyoklecjana, na którego

czasy przypada jedno z najsroźszych prześladowań chrześcijan; że nie tylko w Rzymie ale i na prowincyi odbywały się za nimi pościgi, a rozbudzona ku chrześcijanom nienawiść szła jak płomień od Rzymu przez całą Italię, więc nie bez pewnej podstawy przypuszczać możemy, że stąpając po piasku tutejszej areny, deptaliśmy ziemię, przesiąkłą krwią męczenników.

Takie areny jak werońska, pochodzą z późnej już doby rzymskiego państwa, gdyż pierwszy amfiteatr i to z drzewa, wzniosł dopiero Juliusz Cezar w 44 roku przed Chrystusem. Wkrótce groźne wycia głodnego i rozpasanego motłochu: „*panem et circenses*“ zniewalały władców Rzymu, chcących ten motłoch ugłaskać, do budowania po całym kraju monumentalnych amfiteatrów z cegły i kamienia i pierwszy taki olbrzym, znany pod nazwą *Colosseum*, stanął w Rzymie w 20 lat później.

Arena werońska jest to owalna budowla, mająca w obwodzie 154 metrów, o czterdziestu trzech rzędach siedzeń, na których wygodnie pomieścić się mogło 30.000 widzów. Aż strach pomyśleć, co to za ogrom! Wnętrze areny jest wybornie zachowane, a potężne zewnętrzne mury, w których skład wchodzi granit i czerwony marmur, imponują dziś jeszcze swą cyklopową robotą.

Patrząc na to dzieło architektury starożytnych Rzymian, nie wiem doprawdy co więcej podziwiać: czy ogrom pracy zużytej na jego wzniesienie, czy geniusz tego ludu, który na świadectwo swojej potęgi wznosił takie pomniki! To też wrażenie, jakiego się tu doznaje, z niczem porównać się nie da i jest zupełnie różne od wrażeń, jakie na widok innych dzieł architektury odnosimy. Coś groźnego, coś bezlitośnie surowego wieje od tych murów i twardym głosem dawnych pogromców świata zdaje się wołać: „*vae victis*“!



Ale i architektura chrześcijańskich czasów, posiada tu pierwszorzędné wzory sztuki i pierwszorzędných przedstawicieli. Z pomroku średnich wieków spoglądają na ciebie starożytne świątynie św. Zenona i św. Anastazyi, których pierwsza jest zabytkiem romańskiego stylu, druga późnego gotyku. Obie godne są uwagi, więc pozwolicie, że im kilka słów poświęcę.

Kościół św. Zenona, wzniesiony w początkach XI. wieku, a więc wtedy, gdy u nas w Polsce zaczął dopiero przebłyскиwać świt chrześcijaństwa, należy do najciekawszych budowli kościelnych, jakie tu na północy Włoch spotykamy.

Jest on i z tego jeszcze względu ciekawy, że właściwie składa się z dwóch kościołów, górnego i dolnego, w którym mieści się piękny ołtarz św. Zenona, będący zarazem grobem tego patrona Werony.

Do tego mrocznego podziemia, które jest miejscem odpustu i celem pielgrzymki dla tysiąca wiernych, schodzi się po kamiennych schodach, a będąc już w tej krypcie, nie można oprzeć się jakiemuś smutkowi, który na duszę pada i tak do niej przylega, że trudno się z niego otrząsnąć. Znamcy podziwiają w tej świątyni niczem nieskalane formy dawnej bazyliki, tego prototypu wszystkich chrześcijańskich kościołów, ja, nie będąc znawcą, patrzałem z zajęciem na oryginalny fronton kościoła, na te filary wsparte na grzbietach lwów, na te ciekawe i pełne naiwnej inwencji rzeźby na drzwiach kościelnych, — a wewnątrz świątyni, na prześliczny obraz Królowej niebios, pędzla Andrzeja Montegno, który jest bezwątpienia najcenniejszą jej ozdobą.

Metryka kościoła św. Anastazyi sięga XIII wieku; jest to więc także sędziwa matrona tutejszych świątyń. Zewnętrzną jej zaletą jest piękna, gotycka architektura, a wewnętrzną prześliczna kaplica Pellegrinich, pełna rzeźb, obrazów i po-

mników, z których na szczególną uwagę zasługuje grobowiec Tomasza Pellegrini († 1392) i dużej artystycznej wartości płaskorzeźby nieznanego autora, wyobrażające dzieje żywota Chrystusa Pana.

Niemniej ciekawą jest tutejsza katedra, imponując wspianiałym portalem, a w niej obraz Wniebowzięcia N. Maryi Panny, pędzla Tiziana, uważany za jedno z arcydzieł tego mistrza. Dla uzupełnienia tej notatki winienem dodać, że przed kościołem św. Anastazyi wznosi się pomnik słynnego Pawła Werończyka (*Paolo Veronese*), który w historyi sztuki włoskiej nieśmiertelnymi zgłoskami zapisał swe imię. Pomnik ten, wykuty w białym marmurze, wyobraża artystę w siedzącej postawie, z pędzlem w prawej, a z paletą w lewej ręce, jakby zabierał się do malowania i jest pod każdym względem niezwykłym i znakomitem dziełem sztuki.

Jużto wogóle Werona obfituje w dzieła wysokiej artystycznej wartości. Dość spojrzeć na monumentalne gmachy wzniesione przez Sammichela, który w dziejach rodzinnego miasta zajął tak poczesne miejsce, że go powszechnie nazywają twórcą i budownikiem Werony; dość wiedzieć, że tu się urodził Fra Giocondo, jeden z najznakomitszych architektów, jakiego epoka

renesansu wydała i wreszcie przypomnieć sobie, że Werona stworzyła osobną szkołę w malarstwie, że była ojczyzną Pisana, Dominika Morone, Franciszka Caroto, a nadewszystko Pawła Werończyka, aby mieć głęboki szacunek dla tego miasta, nad którem unosi się duch artystycznego piękna i estetycznego wdzięku.



Byłoby to już wszystko, co o Weronie powiedzieć umiem, i tu bym powinien skończyć, gdyby nie dwie jeszcze zapiski, które znajduję w moim notatniku: „Kobiety i ogrody“.

Jakkolwiek dwa te wyrazy nie rymują ze sobą, to wszakże tak się wzajemnie dopełniają, że bodaj przelotnie o nich wspomnę.

W żadnym z miast włoskich które dotychczas zwiedziłem, nie widziałem tylu i tak pięknych kobiet, jak właśnie w Weronie. Niezwykły wdzięk ułożenia, chód pełen gracyi i świeżość oblicza, składają się na tak ponętny obraz, że kobiety tutejsze zdają się być raczej zjawiskiem niż rzeczywistością

A co do ogrodów, to jeden z nich, a mianowicie ogród *Giustich*, z wspaniałą aleą potężnych, trzystoletnich cyprysów, wysokich jak

nasze topole, z prześlicznym widokiem, jaki się stąd na całą Weronę odsłania, z klombami woniejących aż do upojenia kwiatów, starczy za wszystkie inne w których się kocha Werona.

Z tych kwiatów wybieram najwonnejsze i rzucać wam pod stopy, o piękne Weronezki, bo wy nad wszystkie tego miasta powaby, jesteście jego najpiękniejszą ozdobą!



JEZIORO GARDA

LEZIO RO GARDIA

Po drodze z Werony do Medyolanu, zatrzymałem się na noc w Peschierze, małej ale silnie obwarowanej miejscinie, położonej tuż nad jeziorem Garda, z którą wiązą nas także wspomnienia przeszłości, bo i tu również lała się krew polskich legionistów, którzy w 1800 roku oblegali tę fortecę, pod osobistem dowództwem generała Dąbrowskiego.

Nazajutrz, około godziny 6tej rano, w piękny dzień wrześniowy, wypłynąłem parowcem na dwudniową przejażdżkę po jeziorze. Jakkolwiek „słodki kapitan“ — bo tak tu nazywają dowódców parostatków na słodkich wodach, w przeciwstawieniu do wilków morskich, — zapewniał, że żadne nie grozi nam niebezpieczeństwo, przyznam się, że z pewną obawą wstępowałem na pokład, a jeszcze z większą spoglądałem na jezioro, ślubując w duszy poprawę ze wszystkich grzechów, bylebym tylko w całości na ląd powrócił.

Bo trzeba wiedzieć, że jezioro Garda, jak jest największe we Włoszech, gdyż rozlewa się na przestrzeni 366 kilometrów kwadratowych, tak też ze wszystkich jezior włoskich jest najburzliwsze.

Już w samej jego nazwie zamknięta jest przestroga. *Garda!* Strzeż się! woła na ciebie ta bezmierna głębia, bo zmiotę cię i pochłone! Jakoż zdarza się nieraz, że łódź kierowana mniej wprawną ręką wypłynie na jezioro i nie wraca więcej; jakoż bywają wypadki, że czółno dostanie się w otok jakiegoś wiru, okręci się kilka razy około siebie i znika na zawsze w przepaściach wodnych. A kiedy wiatr północny uderzy całą siłą o zwierciadło wody, gdy zwichrzy je i do dna poruszy; gdy wulkaniczne moce drzeмиące gdzieś na spodzie, zakotłują w tych przepaścistych głębiach: to wtedy oddaj się Bogu! Burza na tem jeziorze straszniejszą bywa, niż na otwartem morzu i już nie tylko wąłym czółnom, ale i dużym statkom grozi zagładą. To też nikt podczas wichury nie ośmieli się wyruszać na te wody, które „falami i łoskotem burzy, dorównują morzu“ i groźnie wyją z przepaścistej topieli: *Garda! Garda!*

Zdradliwe to jezioro nigdy nie jest spokojne. Gdy u jego brzegów, wabi cię woda tak równa

jakby wygładzona delikatną ręką dziewicy, to o kilka kilometrów dalej, wodne głębiny w nieustannem są poruszeniu, jakby nimi wstrząsał jakiś dreszcz podziemny.

Ale stało się! Świstawka przeraźliwie gwizdnęła, koła uderzyły o fale, statek poruszył się, — płyniemy.

Nic bardziej uroczego nad widok tego jeziora!

Wyobraźcie sobie, ujętą w bogate i malownicze ramy alpejskiego krajobrazu, ogromną przestrzeń wody, barwy najcudniejszego lazuru i to tak silnej, że zdajesz się płynąć po roztopionym szafirze, z rozsianymi na brzegach gajami cytryn i oliwek, ruinami starych zamków, szumami wodospadami i uroczymi stacyami klimatycznymi, a będziecie mieli choć słabe pojęcie o tem, jak to jezioro wygląda.

Z początku płynęliśmy nieopodal brzegów: z Peschiery do Lazise, z Lazise do Bardolino, a stąd do Tori, gdzie mieliśmy przeciąć w poprzek jezioro i tu dopiero przekonaliśmy się, jaki to zdrajca z niego. Dotąd nie nie mąciło jego lazuru. Wpatrzeni w przestrzeń wodną i w rozsiadłe u jej brzegów wioski i miasteczka, płynęliśmy muskani mieniącemi się w łuskę falami, ani się domyślając, jaka nas dalej czeka niespodzianka. Dzień był spokojny, słońce przygrze-

wało, więc i dalsza podróż wróżyła powodzenie; gdy wtem, zaledwie odbiliśmy od brzegu, nasz „słodki kapitan“, robi strasznie seryo minę, nadziewa płaszcz gutaperkowy, kaptur narzuca na głowę i wspina się na wywyższony pomostek.

— Kiej lichy! — pomyślałem sobie: a to szczególny człowiek! Nam wszystkim tak gorąco, że radziibyśmy pozdejmować surduty, a jemu jeszcze za chłodno!

Oj, nie było mu wcale chłodno, ale nam za chwilę miało stać się tak zimno, żeśmy ze strachu na dobre zaczęli dzwonić zębami.

O parę kilometrów od brzegu, statek zaczął się nagle podnosić i opadać, kołysać w lewo i w prawo, a za chwilę, już takie wyprawiał skoki, że zaledwie z wysiłkiem można było utrzymać się na pokładzie. Więc panie pierwsze schroniły się do kajut, następnie kilkunastu mężczyzn mniej odpornych na falowanie jeziora i na morską chorobę, o którą ono przyprawia, uciekło przed burzą, tak, że z całej osady, kilku tylko wytrwalszych zostało na pokładzie, a między nimi ja i mój towarzysz podróży, pan starosta Pizar.

A tymczasem jezioro rozszalało się na dobre. Fala, raz podrzucała statkiem jak piłką, to znów go brała w swe wilgotne objęcia, bryzga-

jąc pianą i przeskakując przez pokład, który za chwilę wyglądał jak po ulewie.

A słońce patrzyło na to wszystko z góry, jasne, majestatyczne, spokojne — i ten kontrast pomiędzy pogodnem niebem a zagniewanem jeziorem, był właśnie największą sensacją, jakiej podczas mej podróży na tem jeziorze doznałem.

Wreszcie, wody zaczęły się układać do spoczynku; przeciwległy brzeg zarysował się w oddali i znowu z fal wyrzał lazur niebieski i znów cisza zapanowała na wodzie... Tylko tam, za nami, widać było jeszcze goniące nasz statek rozigrane fale, które już nas jednak dosięgnąć nie mogły.

Parę razy jeszcze przecinaliśmy w zygzak jezioro, ale że to już było w tej wąskiej szyi, która się wydłuża ku południowemu Tyrolowi, więc i wody były tu spokojniejsze. Bez żadnego więc wypadku dopłynęliśmy do Rivy, zostawiając za sobą zawieszoną malowniczo na szczycie niebotycznej skały, nakształt orlego gniazda, *Tremosine*, tudzież już na austriackim brzegu znajdujący się wodospad *Ponale*, którego imponującą kaskadę widać dobrze z jeziora.

Była godzina 1 z południa, gdyśmy przybyli do Rivy, skąd po przenocowaniu w nadbrzeżnym

hotelu, płynęliśmy nazajutrz w powrotną drogę ku południowemu krańcowi jeziora.

A na tym krańcu, głęboko w te wody wrzyna się półwysep *Sirmione*, gdzie stała kolebka słynnego poety rzymskiego Katullusa, który tu na 87 lat przed Chrystusem, ujrzał światło dzienne. Dotąd pokazują ruiny jego wiejskiego domu, skąd roztacza się wspaniały widok na cały obszar jeziora i dobrze świadczy o gęście rzymskiego wieszca, który zarówno w swoich wierszach jak i w upodobaniach, hołdował przede wszystkim uciechom światowym i poczuciu zmysłowego piękna. Znajdują się tu także ślady po termach rzymskich i doskonale zachowane mury starożytnego zamku Scaligierych, którzy wszędzie w tych stronach zostawili po sobie pomnikowe budowle, świadczące o ich dawnej potęgze i władzy.

Tu był kres mojej wycieczki po Garda, i tu się rozstałem z jeziorem.



MEDYOLAN

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

PHYSICS DEPARTMENT

REPORT ON THE PROGRESS OF THE WORK

OF THE PHYSICS DEPARTMENT

FOR THE YEAR 1900

BY THE PHYSICS DEPARTMENT

OF THE UNIVERSITY OF CHICAGO

CHICAGO, ILL., 1901

PRINTED BY THE UNIVERSITY OF CHICAGO PRESS

1901

1901

1901

1901

1901

1901

1901

1901

1901

Znałem pewnego jegomościa, który jeździł do Strasburga nie po to wszakże by oglądać tamtejszą katedrę, lecz aby tam, na miejscu, uraczyć się pasztetem, gdyż jak powiadał, w obecnych czasach powszechnego fałszerstwa, w których nawet mleku prosto od krowy dowierzać nie można, należy wszystko czerpać u źródła.

Ja wszakże nie po to jeździłem do Medyolanu, aby z powrotem pochwalić się, że jadłem prawdziwe kotlety *à la milanese*, lecz właśnie dla tego, by ujrzeć ów cud nad cudy, ową perłę Medyolanu, słynną katedrę.

Bo choć są miasta jak Frankfurt, który słynie ze smacznych kiełbasek, Strasburg z pasztetu a Weronia z salami, to sędzę, że nie po to ludzie do nich jeżdżą aby się rozkoszować temi delicyami, ale i dla innej jeszcze sławy która je otacza, bo jak wiadomo, nie samym tylko chlebem człowiek żyje.

Zanim jednak zdam sprawę z wrażenia jakie na mnie zrobił ów tum medyolański, pierw mu-

sze powiedzieć coś o samem mieście, do którego prowadzę czytelnika, aby snąć wiedział, że posiada ono nie tylko tę jedną katedrę, ale i inne jeszcze osobliwości godne widzenia i podziwu.

Rozpocznijmy więc naprzód wędrówkę po ulicach miasta a katedrę zostawimy na ostatek; bo choć do niej każdy z wędrowców naprzód podąży a ja idąc ich śladem, również jej pierwszy pokłon oddałem: to wszakże tym razem odstąpię od przyjętego zwyczaju i zacznę od topografii miasta.

Medyolan od dawna nosi przydomek „la grande“, ale ten tytuł widocznie mu nie wystarczał, skoro dla bliższego określenia swojej wielkości, przezwiał się „Paryżem włoskim“ i najchętniej też obecnie przydomku tego używa.

Ów tedy Paryż lombardzki, jest to w rzeczy samej ogromne miasto, o półmilionowej blisko ludności, silnie rozgałęzionej sieci ulic i placów, szczycące się wspaniałymi gmachami, pierwszorzędnymi dziełami sztuki, gwarne, ruchliwe, pulsujące wesołym życiem, dumne ze swego przemysłu i handlu, a więc co za tem idzie i z dobrobytu mieszkańców, który jest tak widoczny, że na pierwszy rzut oka od razu poznasz, że znajdujesz się w jednym z najbogatszych miast włoskich.

Ulice wprawdzie nie są tu zbyt szerokie, mimo to pełne ruchu i gwaru, i wszystkie jak rzeki do jednego zbiornika, zlewają ten kipiątek wielkiego miasta na plac katedralny, na którym, oprócz tumu, wznosi się jeszcze wspaniały pałac królewski, tudzież najpiękniejszy i największy pasaż w Europie, zwany Galeryą Wiktora Emanuela. Olbrzymi ów pasaż, mający długości 195 metrów, łączy plac katedralny z placem della Scala i jest główną arterią komunikacyjną pomiędzy północną a południową częścią miasta.

Nic bardziej czarodziejskiego nad wieczorną przechadzkę w tym pasażu, oblanym potokami elektrycznego światła, lśniącym od bogatych sklepów, wytwornych magazynów, ludnych o tej porze kawiarni i restauracyj, — kiedy fala przechodniów płynie wezbrany nurtem, a wśród tej fali, co chwila, jak złota rybka z pobliskich jezior, wyłoni się strojna i urocza postać Medyolanki, o wabnem oku, kruczych włosach, spiętych koroną lśniących szpilek i majestatycznych ruchach zakłętej w baśni królowny...

Ale na takie rybki złotej potrzebaby wędki, — a że jej nie posiadamy, więc płynmy z falą która nas unosi, zwłaszcza, że przelewa się ona ku placowi della Scala, któremu warto kilka słów poświęcić.

Na tym to właśnie placu znajduje się ów głośny na cały świat teatr, który zaleca się nie tyle zewnętrzną swoją strukturą, dość niepozorną na pierwszy rzut oka, ile sławą przywiązaną do swego imienia. Posiada on bowiem tak ustaloną opinię wykwintnego znawstwa w dziedzinie sztuki, że śpiewak lub śpiewaczka, którzy dostąpią zaszczytu debiutu na jego scenie, już tem samem mają dla siebie otwarte podwoje wszystkich pierwszorzędnych teatrów w Europie.

Na środku placu wznosi się wspaniały, z białego marmuru pomnik Leonarda da Vinci. Twórcą jego jest Magni. Cokół pomnika otaczają postacie czterech jego znakomitych uczniów w osobach Marca da Oggione, Cezara da Sesto, Salaina i Boltrafia. Wśród nich, jak jakie nadziemskie zjawisko, góruje poważna i szlachetna postać mistrza, na którego pomniku wyryto tylko jego imię, gdyż jest on tak czczony i popularny we Włoszech, że może się obyć bez przydomku. Prosty napis *Leonardo* zaciera pamięć o jego urodzeniu, zastępuje wszystkie jego tytuły do sławy i pod tem tylko wielkiem imieniem, przekazuje go wiekuistej pamięci w narodzie.



Pokłoniwszy się pomnikowi Mistrza, chodźmy oglądać jego największe arcydzieło jakim się chlubi Medyolan, a mianowicie jego „Wieczerzę Pańską“, na ścianie refektarza klasztoru Dominikańskiego, znajdującego się przy kościele Santa Maria delle Grazie.

Dziwne są koleje tego obrazu. Poczęty w intencji artysty by trwał przez wieki i dlatego malowany olejno; dlatego rzucony nie na płótno, jako łatwo podlegające zniszczeniu, ale na trwałą, kamienną ścianę: spełził i niszczał przed czasem, tak, że dziś pozostał zaledwie ślad tego czem on był w chwili poczęcia. Nie tyle wszakże bezmyślne żywioły ognia i wody, które go żarły i zalewały, ile partactwo niepowołanych restauratorów dokonało na nim męki zniszczenia, torturując mistrzowskie dzieło świętokradzkimi poprawkami. Dziś to ruina tylko, — ale jak każda ruina, przykuwa i ten obraz uwagę widza do siebie, choć nadaremnie każe mu szukać śladów dawnego arcydzieła. Zostało po niem tylko wspomnienie, została tradycja dawnej świetności i to uczucie bezgranicznego żalu, które po takiej stracie niczem ukoić się nie da.

A jednak, mimo to wszystko, po kilkakroć wracałem do tego obrazu, nie mogąc się od niego oderwać, i w myśli porównywałem go

ze znanemi mi kopiami, które podobno lepiej odtwarzają jego pierwowzór, niż sam oryginał, który już dziś, po tylu poprawkach, za taki uchodzić nie może.

Jest wszakże w tym obrazie jedna głowa, która wprawdzie jak inne uległa zniszczeniu, ale mimo to silne jeszcze sprawia na widzu wrażenie, a mianowicie głowa samego Chrystusa. Jest ona tak jakoś szczerze i po ludzku pojęta, a przytem tak pełna uroku świętości, że od niej oczu nie mogłem oderwać. Widziałem jej pierwowzór a raczej szkic tylko, rzucony przez Mistrza ołówkiem na świstku papieru w tutejszem muzeum Brera i zaprawdę powiadam, że drugiej takiej głowy Chrystusa, któraby tak niezatarte na mnie zrobiła wrażenie, nigdzie już potem nie spotkałem, chociaż tyle przed memi oczami przesunęło się arcydzieł dawnych i nowszych malarzy. W tej nawet chwili, gdy kreślę te słowa, zdaje mi się, że patrzę na tę twarz słodką a tak smutną, że widzę te ręce Chrystusowe z taką rezygnacją położone na stole i słyszę ten cichy jęk przeznaczonej na śmierć ofiary, który szeptem wyrywa się z ust Pana: „Zaprawdę powiadam wam, że jeden z was wyda mię“.



Nie piszę przewodnika po Medyolanie, więc też wyliczać nie będę tych gmachów i muzeów, tych pomników i dzieł sztuki, które tu przeszłość i terażniejszość hojną rozsiały ręką, — bo to wszystko znaleźć można w pierwszym lepszym opisie tego miasta, a zajmę się raczej tylko tem, co mię szczególnie w niem uderzyło i co w pamięci mojej zapisało się niezatartemi głoskami.

I tak, gdym rozpatrywał się w publicznych gmachach Medyolanu, dwa z nich przedewszystkiem zajęły mię swojem filantropijnem przeznaczeniem, a mianowicie Szpital powszechny i Hotel ludowy. Pierwszy z nich datuje początek z XV jeszcze wieku i jest niepowszedniem dziełem lombardzkiego gotyku, — drugi, wyrósł w naszych niemal oczach, gdyż niedawniej jak parę lat temu oddany został na użytek publiczny.

Szpital powszechny, inaczej „Ospedale Maggiore“ zwany, jest to rozległy budynek o przepysznej fasadzie, ozdobionej terakotowemi figurami świętych i takimże ozdobnym fryzem, o wspaniałej i oryginalnej oprawie okien, o dziewięciu podwórzach, z których główny dziedziniec otoczony jest piętrowym łukiem wyniosłych arkad, wspartych na 160 granitowych słupach. Wewnętrzne urządzenie szpitala odpo-

wiada (jak mi mówiono) wszelkim wymogom nowoczesnej higieny, a objętość jego obliczona jest na 4000 chorych.

Drugim budynkiem, którego przeznaczenie nie mniej jest filantropijne, jest ów Hotel ludowy, mieszczący się przy ulicy Marco Dogione, to jest w tej części miasta, którą zamieszkuje ludność robotnicza, gdyż dla niej to właśnie, dla jej pożytku i wygody, został on od niedawna otwarty. Jakkolwiek gmach ten nie posiada tych zewnętrznych ozdób rzucających się w oczy, jak w innych publicznych budynkach Medyolanu, mimo to jednak sprawia imponujące wrażenie. Jest to rozległy budynek, rozsiadły na przestrzeni 2200 metrów kwadratowych, zawierający, oprócz sal zbiorowych, trzysta pokoi, w których tyleż mieszkańców może za tanie pieniądze znaleźć nocleg i dla wielu nieznane im dotąd wygody.

Oprócz bowiem gościnnych numerów, z których każdy posiada łóżko żelazne z materacem i czystą pościelą, krzesła, półkę na rzeczy i lampę elektryczną, — znajduje się tu obszerna sala do wspólnych zebrań i zabawy, jadalnia, w której za pół franka można dostać wcale przyzwoity obiad, łazienki, czytelnia zaopatrzona w najnowsze dzieła literatury i znaczną liczbę dzienników, słowem, hotel ten jest dziełem nie

tylko dobroczynnem ale i mądrym, bo wyrabia w klientach poczucie porządku, zamiłowanie czystości a nadto ma także na oku zaspokojenie ich potrzeb duchowych. Instytucja ta powołaną została do życia przez czynne i ruchliwe tutejsze „Towarzystwo spożywcze“, które otwarło ją wyłącznie dla mężczyzn, a obecnie krząta się około wzniesienia podobnego hotelu dla kobiet.

Gdym opuszczał progi tego budynku, informowany z największą uprzejmością o jego przeznaczeniu przez jednego z członków Stowarzyszenia, doznałem dwóch sprzecznych uczuć. Pierwszem było uczucie jakiejś wewnętrznej radości, że gmach takiego społecznego pożytku istnieje, — drugim, dziwnego upokorzenia, że podobnej instytucji dotychczas u nas nie ma. A wszakże, przed niedawnym jeszcze czasem, tyle się snuło o niej projektów, tyle dla niej zużyliśmy słomianego zapалу i tyle okazaliśmy dobrych chęci, że nawet na wybrukowanie całego piekła, byłoby ich za wiele...



Z mnogiej liczby tutejszych świątyń, trzy przede wszystkim zwracają szczególną na siebie

uwagę, a mianowicie: kościół św. Wawrzyńca (San Lorenzo), kościół św. Ambrożego i Katedra. Nie brak i drugim wspaniałych obrazów, artystycznych pomników i pięknej architektury, — ale te trzy górują nad innymi, już to sędziwością wieku, już dziejowemi wspomnieniami które się z nimi wiążą, już wreszcie, jak katedra, wszechświatową swoją sławą.

Najstarszą świątynią w Medyolanie, jest kościół św. Wawrzyńca, wzniesiony w IV-tym wieku naszej ery, na gruzach dawnych termów Herkulesa. Aby się dostać do niego, trzeba przejść przez starorzymski portyk, wsparty na szesnastu korynckich słupach, — gdyż sam kościół znajduje się w dziedzińcu i z zewnątrz nie jest widzialnym. Jak ta świątynia jest macierzą wszystkich innych w Medyolanie, tak i ta rzymska kolumnada, należy do najciekawszych zabytków starego Medyolanu.

Niemniej ciekawym a szacowniejszym jeszcze dla uroku wspomnień które go otaczają, jest kościół św. Ambrożego, wzniesiony przez niego na gruzach dawnej świątyni Bachusa, w r. 380. Był to koronacyjny kościół dawnych królów lombardzkich, którzy tu, przed słynnym z bogactw i drogocennych ozdób wielkim ołtarzem, żelazną brali koronę. Ołtarz ten, jakiego dru-

giego próżnobyś szukał w całych Włoszech, go-
dzien jest największego podziwu, nie tylko dla
bogatej ornamentacyi, na którą złożyły się szcze-
rozłote płyty, ozdoby z emalii i drogich kamieni,
ale i dla tej jeszcze historycznej pamiątki, że
w tem miejscu, gdzie on dziś stoi, odbył się
chrzest św. Augustyna.

W tym to kościele rządcą i biskupem był św.
Ambroży, ów mąż, który na stolicę biskupią
wyniesiony został proroczym głosem ośmiole-
tniego dziecięcia; ów twórca potężnego kantyku:
Te Deum laudamus, który wnet stał się tryum-
falnym hymnem całego chrześcijańskiego świata;
ów groźny wreszcie sędzia grzechów i zbrodni
ludzkich, który przed cesarzem Teodozyuszem
zatrzasnął drzwi kościoła, gdy ten, po krwawej
rzezi Tesalończyków chciał świętokradzko po-
dziękować Bogu za odniesione zwycięstwo. Wię-
c nie dziwcie się że, gdym opuszczał mury tej
świątyni, byłem pełen tych wspomnień i tych
wrażeń, i że mi się zdało iż drżą one jeszcze
od tej potężnej pieśni, której twórcą był św. Am-
broży.

Z kolei powinienem pomówić o katedrze. Ale
co o niej powiedzieć i jak opisać to pierwsze wra-
żenie, jakie się na widok tego wspaniałego dzieła
architektury odbiera, a które jest silniejsze od

wszelkiego opisu? Jak opisać to niezliczone mnóstwo posągów wykutych w białym marmurze, zdobiących jej szczyty i fasadę, a których liczba do dwóch tysięcy dochodzi? tę mistrzowską robotę rzeźbionych w marmurze kwiatów i ozdób i ten las kolumn, podobnych do niebotycznych dębów, na których wspiera się jej potężna nawa?

Widziałem ten kościół we dnie i w nocy, chodziłem oglądać go gdy kąpał się w potokach południowego słońca i gdy tonął w mistycznym blasku miesięcznego światła, — a zawsze odnosiłem jedno tylko wrażenie: podziwu i zachwytu.

Wieki go budowały i dotąd nie jest zupełnie skończony, a mimo to uchodzi za ósmy cud świata i braków jego trudno się dopatrzeć, bo te bynajmniej nie wpadają w oczy.

O tej katedrze, rzuconej pod stopy Naj. Maryi Panny, która jest tego przybytku patronką, chodzi legenda, że nie ludzką wzniesiona została ręką, ale wyrosła z ziemi nakształt lilii białej. Tę niepokalaną, zewnętrzną szatę, jako najpiękniejszą swoją ozdobę, nosi też ona na sobie, — i na tym obszernym placu, na którym stoi, podobną jest do olbrzymiej, śnieżnej góry, na której szczycie błyszczy zdaleka złocisty posąg Matki Boskiej, opiekunki tego miasta i ludu.

Spoglądałem na tę katedrę w niemem skupieniu i powtarzałem sobie w myśli prześliczny sonet Mirona, którym zamykam to krótkie o niej wspomnienie.

Cześć ci, katedro stara, cześć ci skamieniały
Pacierzu wieków średnich, mistrzowsko rzeźbiony,
Oknami tęczowemi uroczo przyćmiony,
I promienny spokojem, jak Cherubin biały.

W twych kolumn niemych cieniu, duch w zachwycie cały,
Złote skrzydła modlitwy rozwija stęskniony,
By, wzleciawszy z tej ziemi za gwiazd regiony,
Upaść przed tronem Bożym, śpiewając hymn chwały.

Cześć ci, pomniku, grobie duchowych olbrzymów,
Wspaniały, gdy w mgłę wonnej z trybularzy dymów,
Drżysz od groźnej harmonii psalmów gregoriańskich.

Cześć ci, biblio z marmuru, sztuk pięknych dyademie,
Święty, gdy w noc miesięczną modlisz się za ziemię,
Wieżycami sięgając do krain niebiańskich.



Jakkolwiek Baedeker zaleca, by nawet „*bei beschränkter Zeit*“ obejrzyć jeszcze koniecznie starożytny zamek, tę dawną rezydencję Viscontich i Sforzów; pałac Brera, który jest prawdziwą skarbnicą sztuki i nauki, gdyż obok ciekawej galerii rzeźb i obrazów, posiada także jedną z najbogatszych bibliotek w północnych Włoszech; dalej wspaniałą „bramę pokoju“ (*Arco de la Pace*) i wreszcie tutejszy cmentarz, który nosi przydomek *monumentalnego*, gdyż w samej rzeczy zawiera prawdziwe muzeum nowożytnej sztuki rzeźbiarskiej i pyszni się wspaniałymi grobowcami, to wszakże, na tem com wyżej powiedział poprzestane i dalszego opisu zaniecham, — nie chcę bowiem suchą nomenklaturą zaprzętać pamięci czytelników.

Ale nie podobna mi nie powiedzieć jeszcze słów kilku o przeszłości tego miasta, które tyle razy wtrącane w przepaść niedoli i nieszczęścia, odradzało się zawsze jak Fenix z popiołów, — bo dzieje jego są wymownem stwierdzeniem tej prawdy, że „paść może i lud wielki, ale zginać tylko nikczemny“.

Krwią i łzami pisane są ludzkości dzieje... Od tych słów naszego poety możnaby zacząć historję Medyolanu, który niemal od początku swego istnienia przechodził tak straszne koleje losu,

że dziwić się zaiste wypada, iż zdołał je przetrwać, i że dotąd jeszcze istnieje. W dziejach tego miasta zapisały się krwawo imiona Atylli, który je zburzył i zrabował; dzikiego Witygesa, który pod murami Medyolanu położył trupem około *trzech kroc stu tysięcy* ludzi, i groźnego Barbarossy, który tu po kilkakroć wracał, a w roku 1162 zdobył je, spalił i zrównał z ziemią, tak, że kamień na kamieniu nie pozostał i tylko jakimś cudem z tego morza krwi i płomieni, ocalało parę kościołów, jako widomy znak niebios, że nie ze wszystkiem jeszcze Bóg to miasto opuścił.

W późniejszych czasach Medyolan stał się kością niezgody i areną zaciętych walk o jego posiadanie pomiędzy rozmaitymi władcami, którzy go zbrojnie najeżdżali. Kolejno był on w posiadaniu swoich i obcych: Viscontich i Sforzów, to znów Francuzów, Niemców i Hiszpanów, od których drogą „sukcesyi“ dostał się w ręce Austrii. A kiedy w r. 1796 Francuzi zajęli Lombardję, Medyolan awansował na stolicę rzeczywistej Cisalpińskiej; potem przez czas krótki był stolicą królestwa włoskiego, którego żelazną koronę włożył sobie na głowę Napoleon. Od roku 1860 należy już „na stałe“ do zjednoczonych Włoch, o ile jest coś na świecie stałego.

Dla nas, Polaków, Medyolan posiada wiele ciekawych wspomnień. Już w średnich wiekach bijali się pod tem miastem nasi Piastowicze, jako sprzymierzeńcy Fryderyka Rudobrodego a jeden z nich, Bolesław Wysoki, syn wygnanego z Polski Władysława, a wnuk Krzywoustego, pod murami Medyolanu nieśmiertelną okrył się chwałą. Wypadek ten tak opisuje Długosz:

„Podczas oblężenia miasta, rycerz pewien medyolański, niezwykłej siły i postawy, którą Cyklopom zdawał się wyrównywać, zaufany w siłę swojej i wzroście, ukazywał się konno przed murami miasta i wyzywał żołnierzy cesarskich na pojedynki. Gdy często powtarzał takie wyzwanie, a nikt nie śmiał narazić się na jawne niebezpieczeństwo, rycerz ów naigrawając się z cesarskich, wyrzucał im tchórzostwo i zniechęcałość. To podnieciło ducha odwagi w Bolesławie, księciu polskim i zachęciło go do próbowania szczęścia. Jakoż zagrzany żądzą sławy, a pewien swojej siły i dzielności, tusząc, że w żadnej sprawie nie zdołałby podobnie zalecić się męstwem jak w takim pojedynku, postanowił spotkać się z owym olbrzymem i konno na harc wyjechał. Było to ciekawe dla obu wojsk widowisko, gdy i cesarscy żołnierze wysypali się tłumem z obozu i Medyolańczykowie z wież

i murów miasta powychylali głowy, wyglądając w milczeniu i z podziwieniem końca toczącej się walki.

Obaj harcerze w największym rozpędzie koni uderzyli na siebie kopiami; a gdy rycerz medyolański bezskutecznie swój grot wymierzył, Bolesław, książę polski, tak silnie ugodził go kopią, że ów olbrzym, śmiertelną odebrawszy ranę, spadł z konia na ziemię i omdlał. Bolesław, nie tracąc czasu, jako rycerz dziarski i zwrotny, zeskoczył także z konia, i leżącego dobił olbrzymia, a odartszy go z zbroi, zwłoki martwe na środku pobojowiska porzucił. Głośne zewsząd okrzyki w obozie cesarskim świadczyły o wielkiej radości, jaka panowała w całym wojsku z powodu odniesionego zwycięstwa. Odtąd książę polski za pokonanie onego przeciwnika, tak u cesarza, jako i jego książąt i u wszystkich rycerzy, w wielkiej był czci i poważaniu, coraz więcej owszem wzrastała jego wziętość i sława. Gdziekolwiek przechodził albo społecznie zabawiał, wszędzie go z podziwem ukazywano jako zwycięzcę olbrzymia i bohaterskie jego męstwo wszystkie ogłaszały usta *"

* Długosz, księga V., przekład Mecherzyńskiego.

Działo to się w czasie wojny, wydanej Medyolańczykom przez wspomnianego już wyżej Fryderyka Barbarosę, a więc XII wieku. Ale nas z Medyolanem łączą bliższe jeszcze i droższe wspomnienia... Wszakże to w tem mieście nasz Henryk Dąbrowski wydał na początku 1797 roku ową płomienną odezwę, która potężnem echem odbiła się w sercach Polaków! Wszakże to tu, na tem lombardzkim polu, zawiązały się pierwsze kadry owych sławnych później legionów, które „na Alpach, Pireneach zatknąwszy pałasze” — skonały na San Domingo męczeńską a bezpłodną niestety śmiercią...

Łzy mi stanęły w oczach, gdym przechodził koło skromnego domu na via Agnello, który był według podania, kwaterą Dąbrowskiego... A gdym już opuszczał Medyolan i zajął miejsce w pociągu unoszącym mię do Genui, to w rytmicznym obrocie kół u wagonu, wyraźnie brzmiała mi nuta owej słynnej piosenki polskich legionistów, która, jak była dla nich hasłem nadziei i otuchy, tak nie przestała być dla nas wiecznie ożywiającem źródłem pokrzepienia.



GENUA I PIZA

GENDA L PIZ

Deszcz lał jak z cebra, gdy późnym wieczorem stanąłem w Genui i wskutek zbiegu tych dwóch fatalnych okoliczności t. j. nocy i słoty, stracony dla mnie został czarowny, jak mi mówiono, widok, jaki się przy wjeździe do Genui odśłania oku podróżnika.

— Wynagrodzę to sobie nazajutrz, — pocieszałem się w myśli, i pełen otuchy udałem się do hotelu, którego okna wychodziły na morze. Otworzyłem je na rozcierr, lecz wzrok mój nadaremnie mocował się z egipskimi ciemnościami których przemódz nie zdołał, a słuch nic więcej nie złowił, prócz szumu ulewy i groźnego pomruku fal morskich, bo nawet ów nieustanny gwar portowy, do którego nawykłem w Tryeście i Wenecyi, zamilkł zupełnie.

Ale i nazajutrz nie było lepiej. Owszem, było gorzej, bo gdy stanąłem na „Molo Vechio“, które nakształt olbrzymiego sierpa głęboko wrzyna się w morze, wnet wiatr mię stamtąd spędził, a był tak gwałtowny, że po raz pierwszy zrozumiałem

co to znaczy być unoszonym na jego skrzydłach.

Patrząc z wybrzeża na wzburzone morze, przypomniałem sobie ze smutkiem, że z tego to właśnie portu, w taki sam jak dziś czas dżdżysty i posępny, w nocy z dnia 3-go na 4-ty lutego 1803 roku, resztki legionów polskich, zdziesiątkowane w bojach, z rozpaczą w sercu i zupełną już obojętnością na dalsze losy, wstępowały na pokład trzech okrętów, przygotowanych do przewiezienia ich na wyspę San Domingo, położoną na oceanie atlantyckim. Odjazd z Genui tych dzielnych wiarusów polskich, był tragicznym epilogiem ich sześćioletniej tułaczki, w nędzy i poniewierce, wśród obcych ludzi i dalekich krajów, a zarazem straszną przestrogą daną niešťęśliwemu narodowi, by nigdy zbyt pochopnie nie wierzył obcym potęgóm i obcym geniuszom.

Nie bardzo więc wesoło, zarówno z powodu tych wspomnień które mię przytłaczały, jak i z powodu nieustannej słoty, zaczął się dzień mego pobytu w Genui. Porzuciwszy port i kiwające się w nim okręty, zacząłem piąć się ku środkowi miasta, ale i tam na górze, choć było już trochę inaczej, bo wiatr idący od morza nie tak dokuczał, to wszakże pod względem aury nic

się nie zmieniło, gdyż deszcz lał tutaj tak samo jak na dole, tylko, że tam rozpływał się w morzu, a tu na ulicach rozlewał się w błoto.

O błoto genueńskie, jakże ja cię pamiętam! Na placu „Aqua Verde“, na którym stoi wspinały pomnik Kolumba, zgubiłem kalosz z prawej nogi i skacząc jak wróbel na lewej, przez długą chwilę szukałem mej zguby. A przytem mój parasol, który wskutek niezgrabnych figlów Boreasza, przybrał formę tulipana i w żaden sposób nie dał doprowadzić się do porządku, nie-
miłosiernie szarpał mi nerwy. To też zły i rozdrażniony o mało nie bluźniłem genialnemu odkrywcy Ameryki, zamiast ukorzyć się przed nim i stać z odkrytą głową.

A przecież, przed dziesięciu laty, 1892 r. gdy obchodzono czterechsetną rocznicę odkrycia nowego świata przez tego wielkiego Genueńczyka, i zbierano od wszystkich pisarzy wiersze i aforyzmy do albumu poświęconego uczczeniu tej wiekopomnej pamiątki i ja tam dorzuciłem moje trzy grosze:

Ci, którzy wielkie czyny ważą własnym zyskiem,
Których duch ponad ziemskie sprawy nie wylata:
Imię Twe łączą często z marnym złotą błyskiem,
Odkrywco skarbnicy świata.

Lecz ci, których nękają tyranów okowy,
 Ludy, co nienawykły tarzać się w podłości,
 Ze czcią przy Twem nazwisku pochylają głowy,
 Odkrywco ziemi wolności.

Wiersz ten tak mi się samemu podobał, że chciałem go oddeklamować nieboszczykowi Kolumbowi, ale, że deszcz zalewał mi usta i wyglądałem wcale nie poetycznie, nakształt zmo-kłej kury, więc zaniechałem zamiaru i śp. Kolumb dotąd nie wie, kto stał przed jego pomnikiem.

Genua posiada dwa pomniki Kolumba: pierwszy to ów właśnie na placu „Aqua Verde“ z kłę-zczącą u stóp jego postacią Ameryki i czterema alegorycznymi figurami na cokole, wdzięcznie odcinający się od tła zielonych palm które go otaczają; drugi, podobno również okazały, znajduje się w dziedzińcu jednego z tutejszych pa-łaców, ale go już nie oglądałem, bo na tak szczegółowe zwiedzanie Genui nie miałem czasu.

Za to inne pomniki, a jest ich tu dosyć, go-dne są by je zapisać w pamięci. Do takich na-leżą dwa konne Wiktora Emanuela i Garibal-diego; pomnik na wybrzeżu portowem księcia Galliera, członka zasłużonej dla Genui rodziny, który na rozszerzenie portu genueńskiego da-

rował miastu dwadzieścia milionów franków; dalej pomnik Cavoura a nadewszystko marmurowy pomnik Mazziniego, jedyny bez żadnego napisu, jaki w mych wędrówkach po szerokim świecie napotkać mi się zdarzyło. Słynny ten rewolucjonista wyobrażony jest w postawie stojącej, z założonemi po napoleońsku rękoma i z podniesioną głową, która, jak za życia przywykła dominować nad tłumami, tak i tu, na tym pomniku, przed nikim się nie schyla. Napisu nie ma żadnego, bo gdy szło o położenie takiego jaki komitet budowy zaproponował, rząd nań zgodzić się nie chciał, więc zostawiono pomnik bezimiennym, nie przeczuwając, że więcej on teraz będzie budził ciekawości swoim kamieniem milczeniem, niż gdyby go opatrzono najszumniejszym napisem.

Tyle o pomnikach; a co do ulic i pałaców, to aby zrozumieć dla czego Genua nosi przydomek „wspaniałej“ dość przejść się po dzisiejszej ulicy Garibaldiiego. Po obu stronach tej pięknej, acz niezbyt szerokiej ulicy, wznoszą się pyszne pałace dawnych patrycyuszów genueńskich, i to pałace nie tak jak w Wenecyi martwe i zabite deskami, ale szeroko otwarte dla przychodniów, którzy tu zewsząd się zbiegają, aby w nich podziwiać nagromadzone przez

wieki skarby sztuki lub korzystać z ich bogactw, naukowych zbiorów.

Dość powiedzieć, że takie pałace jak „Bianco” i „Rosso”, oba wspaniałomyślnie darowane na własność Genui przez ostatnią ich właścicielkę, księżnę Galliera, zawierają tyle mistrzowskich dzieł pierwszorzędnych malarzy, że nawet tak bogata pod tym względem Florencya, mogłaby ich Genui pozazdrościć. Ze wszystkiego com tu widział, a co tworzy prawdziwy chaos w głowie, najwięcej utkwiły w mej pamięci przepyszne portrety Van Dycka w pałacu Rosso i terakotowy ołtarz Bogarodzicy Giovanniego della Robbia w pałacu Bianco. Niemniej ciekawe są zbiory zawarte w pałacu „Durazzo”, a w nim dwa rywalizujące ze sobą portrety Jakóba I., króla Anglii i Filipa IV. hiszpańskiego, pierwszy pędzla Van Dycka, drugi Rubensa.

Mówiłem, że tutejsze pałace zupełnie są różne od weneckich; że wre w nich życie, że pleśń wieków bynajmniej ich nie przeżarła. A jak te pałace, tak i samo miasto nie ma bynajmniej, tak jak Wenecya, pozoru martwoty, z której ją tylko budzi olbrzymi ruch przyjezdnym.

Genua przeżyła swoją rywalkę, jest dotąd czynną i ruchliwą, ale pomimo to nie posiada ona tego czaru co tamta, i gdy w Wenecyi mo-

żesz całe tygodnie przesiadywać bez znudzenia, tu już po kilku dniach czujesz się nie swój i radbyś stąd uciec co prędzej. Bo Genua to miasto prozy a nie poezyi; to handlowy rynek całego świata, gdzie co krok przekonywasz się, że tylko złoto jest bożyszczem tutejszych mieszkańców a zysk materyalny ich celem.

Wszędzie, — zarówno za oknami przekupniów pieczywa, jak i handlarzy tandety, — za gablotkami zegarmistrzów i witrynami szynkowni, widzisz rozrzucone monety różnych krajów i papiery rozmaitych banków i wpierw nim dowiesz się o właściwem przeznaczeniu sklepu, rzuca ci się w oczy napis: *gambia di valute*. Ten stempel menniczny jaki spostrzegasz na murach Genui, czyni ją podobną do wielkiego domu bankowego, w którym się odbywają nieustanne transakcye handlowe, miłe i pożyteczne zapewne dla tutejszych mieszkańców, ale obmierżłe dla tych, co z giełdą nie mają nic do czynienia.

To też Genua, mimo swej „wspaniałości“, nie cieszyła się wcale dobrą opinią. Była ona podobna do pięknej i zalotnej kobiety, której reputacya jest jednak mocno nadszargana. Bramy jej miasta nigdy nie dawały schronienia biednym i wydziedziczonym, ale otwierały się tylko dla tych, którzy jej zysk nieśli. *Son porta a chi*

porta mówili o Genui jej własni mieszkańcy, a i dzisiaj podobno nie wiele się pod tym względem zmieniło. Już Dante o nich z przekleństwem wspomina :

Genueńczycy ! przeniewiercze plemię !

Wrogowie cnoty zbrodniami skalani !

Przecz wam pozwala los zaludniać ziemię ? *

Dotąd o Genueńczykach krążą we Włoszech bardzo niepoehlebne przysłowia, z których jedno mówi, że wystarczy raz na miesiąc widzieć Genueńczyka („*Genovese una volta per mese e non piu*“), a drugie, że mężczyźni tutejsi są bez czci a kobiety bez wstydu... Tego już sprawdzić nie mogłem, lecz co do mężczyzn, to nie nabrałem o nich szczególnego wyobrażenia, choćby z następującego wypadku.

Pragnąc poznać tutejsze zwyczaje i obyczaje, zaszedłem do pobliskiej „trattorii“ na szklanę wina i usiadłem sobie w kącie, przypatrując się otoczeniu. Osób było sporo, gwar panował jak w ulu. Spostrzeżono mię i zaczęto się z ciekawością przypatrywać, zwłaszcza, że odrazu poznano we mnie cudzoziemca po czapce podróżnej, którą miałem na głowie. Naraz, od grona zebranych, odrywa się jakiś, dobrze już posu-

* * Piekło, XXX, przekład Porębowicza.

nięty w lata ale rzeźki jeszcze jegomość i oparłszy obie ręce na stole, przy którym siedziałem, wrecz mię pyta, kim jestem.

— Zgadnij pan — odparłem, ubawiony tą bezceremonialnością.

— *Inglese?* — rzucił pytanie.

— Wcale nie.

— *Tedesco?* — badał dalej, topiąc w mej twarzy groźne spojrzenie.

— Bynajmniej — odparłem.

— A więc kto pan jesteś, do licha? — zawołał z widoczną irytacją.

— Jestem Polakiem — mówiłem spokojnie, mierząc go nawzajem oczyma.

— *Pollaco! Pollaco!* — powtarzał. — To co innego. Miałem przyjaciela Polaka; biliśmy się razem za wolność Włoch pod Garibaldim. Dzielny to był człowiek! Hej, gospodarzu! — zawołał nagle, — podaj nam flaszkę wina!

Jakkolwiek przeczuwałem, że ten traktament odbije się na mojej kieszeni, przyjąłem zaproszenie, zwłaszcza, że niespodziewany mój kompan już się był przysiadł do mego stolika. *No-lens-volens* musiałem więc prowadzić z nim dalszą konwersację.

— Jakże się ów Polak nazywał? — zapytałem, napełniając jego szklanke.

— *Signor Giuliano*... tak jest *Giuliano*. Był to prawdziwy bohater; bił się jak lew i zawsze przy moim boku.

— To ślicznie; a jego nazwisko?

— Nazwisko? Przecież mówiłem: *Giuliano Pollaco* — odparł z takim zdziwieniem, jakby mu po raz pierwszy przyszło na myśl, że Polacy mogą mieć inne jeszcze, oprócz swej narodowości, nazwisko.

— Ach! tak, to co innego! Przepraszam. I cóż się z nim stało?

— Umarł — odparł, podnosząc z komiczną powagą palec do góry, jakby chciał wskazać tym giestem, gdzie mam teraz szukać jego przyjaciela.

— Wieczne odpoczywanie! westchnąłem, dzieląc jego współczucie. Ale mnie czas do domu, rzekłem, wstając od stolika; przepraszam więc, że pana pożegnam i podziękuję za tak miłe towarzystwo.

— Ale ja pana samego nie puszcę! zawołał mój Garibaldeczyk, ja pana odprowadzę; nie znasz miasta, mógłbyś zabłądzić...

— Nie fatyguj się pan, przerwałem dość stanowczo ten wylew jego troskliwości. Mieszkam stąd niedaleko, na ulicach jeszcze widno, sam więc trafię doskonale.

Ale gdzie tam! Mój Garibaldeczyk ani myślał wypuścić mię z opieki. Pozwoliwszy mi zapłacić za traktament i doliczyć gospodarzowi poprzednio przez siebie wypite trunki, ruszył ze mną do hotelu. A gdym go chciał przy bramie pożegnać, zawołał ze zdziwieniem:

— Jakto? tak na sucho, bez żadnego wynagrodzenia?

Na chwilę zapomniałem języka w ustach, zdumiony tą czelnością natrętnego intruza i żywo zaprotestowałem:

— Chybaś pan zwaryował! Nic ci się ode mnie nie należy!

— *Piano, piano signor!* odparł z flegmą. A czy to nie bawiłem pana w traktyerni? — czy nie traciłem czasu, opowiadając o pańskim rodaku? czym się nie fatygował, odprowadzając pana do hotelu? czy...

— Dosyć! przerwałem: masz tu obrońco wolności srebrnego franka i niech cię więcej oczy moje nie widzą!

— *Grazia, grazia...* odparł z ukłonem; *addio signor!*

— *Va al diavolo!* mruknąłem przez zęby i zły, żem tak łatwo dał się wywieść w pole, zacząłem gorączkowo pakować manatki, których na szczęście nigdy dużo z sobą w podróż nie

biore, aby tego jeszcze wieczoru uciec z Genui, o której jak najgorsze wywoziłem wspomnienie.

Gdym jechał na kolej niebo się wypogadzało; z poza chmur czarnych, które wiatr rozganiał, pokazał się księżyc dwurogi i w tem oświeceniu Genua korzystniej mi się wydała. Jest to niewątpliwie okazałe miasto: posiada kilka placów i kilka ładnych ulic; olbrzymi ruch handlowy i przepyszne położenie; ale to bodaj już wszystko, co na jego pochwałę powiedzieć można. Reszta ulic, to sieć wąskich przesmyków, osadzonych domami, które z bliska wyglądają raczej na jakieś więzienia, niż na mieszkania uczciwych ludzi, takie są smutne i ponure, a tak się zdają być bez światła i powietrza, że za nic w świecie nie chciałbym w nich mieszkać.

Już dobry zmrok zapadał, gdym wsiadał do wagonu. Jechałem do Pizy, którą, będąc studentem, wyobrażałem sobie trzęsącą się ze strachu, aby się na nią jej pochyła wieża nie zwała. Teraz więc miałem się naocznie przekonać jak płonne były moje obawy, a to wspomnienie dziecinnych wyobrażeń tak mię ubawiło, że z wesołem obliczem przyglądałem się z okna wagonu na przesuające się przed moim wzrokiem obrazy.

• A było na co patrzeć!

Przedemną rozciągał się jeden z najwspanialszych widoków, jakie sobie wyobrazić można. Przebywszy, niewiem już ile tunelów, nagle pod *Nervi* błysnęło oczom moim bezbrzeżne zwierciadło śródziemnego morza. Srebrny blask księżyca muskał spienione fale, które, z łoskotem pędząc ku lądowi, rozbijały się o nadbrzeżne skały. A morze śródziemne, to nie poezya Adryatyku, to nie igraszka błękitnych fal z mieniącą się poświatą księżyca: ale ryk olbrzyma, któremu za ciasno w łożysku pomiędzy dwoma częściami świata i radby zdobyć dla siebie jeszcze więcej przestrzeni. Więc zżyma się i pieni; żuje w swem wnętrzu ponure groźby i wzdyma swój grzbiet wyniosły, jakby chciał przyjrzeć się tej ziemi, którą ma objąć w posiadanie. Lecz cóż to? Olbrzymi bałwan pędzi ku lądowi, wspina się na krawędzie skał i mokrem cielskiem rzuca się na pędzący pociąg. Już go przygniótł swym ciężarem, już go pochłoniął w swej gardzieli i nagle noc ciemna roztoczyła się przedemną... Zginałem!... Ale to było tylko złudzenie. Pociąg wydostał się z tunelu w który wpadł przed chwilą i znów ujrzałem mieniące się od księżycowego blasku morze i przesuwające się jak w kalejdoskopie, fantastyczne widoki drzew, miast i ruin: to Chiavari, Sestri,

Spezia, Sarzana; to Pietrasanta i Viareggio, to całe owo malownicze wybrzeże morskie, zwane *Riviera di Levante*, przez tylu mych ziomek zwiedzane i tylekroć opisywane. Więc jeszcze tylko godzina jazdy, jeszcze kilka chwil ciepłości, i oto pociąg zatrzymuje się w biegu, konduktor otwiera drzwi wagonu i sennym głosem woła:

— Piza!

Było już około północy, więc nie namyślając się długo, obrałem najbliższy hotel przy dworcu kolejowym i ułokowawszy w nim bagaże, natychmiast udałem się na spoczynek.

Nazajutrz powitał mię dzień pogodny i słoneczny, pachnący wiosną i porankiem, wykąpany w ciepłym deszczu, który spadł o świcie i nappełnił powietrze jakimś oddechem świeżości. Bo trzeba wiedzieć, że w Pizie rzadki jest dzień bez deszczu. Na 365 dni w roku, niemal połowa z nich zalicza się do słotnych. Mieszkańcy są już do tego tak przyzwyczajeni, że żaden z nich, zwłaszcza na wiosnę i w jesieni, nie wychodzi na ulicę bez parasola.

Tym razem los mi sprzyjał. Ciepło było i słonecznie, więc co rychlej zerwałem się z pościeli i spożywszy na prędko śniadanie, za chwilę byłem już w mieście.

A dziwne to miasto: ciche, spokojne, niemal letargiczne, nie bez racyi też nosi przydomek „umarłego“. Ruchu tu niewiele, — ulice, jakby wymiótł, place puste, — a nawet w kościołach zazwyczaj gdzieindziej tak licznie odwiedzanych, zaledwie gdzieś tam w kątku dostrzeżesz rozmodloną postać niewieścią, zresztą nikogo więcej... Słowem „*Pisa la morta*“, jak ją powszechnie nazywają, zdaje się należeć do rzędu tych miast, które „przed życiem czują nie przed śmiercią trwogę“.

A jednak było tu kiedyś inaczej! Ta cicha dziś Piza była przed wieki można i bogata; była zdobywcza i przedsiębiorcza; hołdowały jej wyspy Balearskie, korzyła się przed nią Korsyka i Sardynia, drżał Tunis daleki... Morze śródziemne stało przed nią otworem, a pyszna Genua ustępowała jej z drogi. Ale nie ma stałego na świecie! Panując przez trzy wieki na całym zachodnim wybrzeżu Włoch, upada ona w końcu XIV wieku, podbita przez genueńczyków i zostaje jak niewolnica sprzedana Florencyi, przez co traci na zawsze swój blask i znaczenie.

Te wszystkie wspomnienia cisnęły mi się do głowy, gdym przechodził przez *Ponte di Mezzo*, ten najstarszy most, rzucony przez Arno, który dzieli Pizę na dwie prawie równe części, łącząc

z północną jej południową stronę. I przez dziwny jakiś kontrast, przyszedł mi nagle na myśl wesoły wierszyk Wacława Szymanowskiego o tym moście i owym podeście Pizy, który go tu przed wieki wystawił:

Dbał gospodarno,
 O miasta wzrost;
 Na rzece Arno,
 Zbudował most;
 By trwał przez wieki,
 Dał go w szerz rzeki...
 Rozumu kawał,
 Widnieje w tem:
 Gdyby wzdłuż dawał,
 To byłby kpem!

Po za tym mostem stoi pomnik Garibaldiego, najzieleńszy jaki kiedykolwiek w życiu widziałem, z imitowaną sztucznie patyną, co mu nadaje pozór, jakby był pomalowany szpinakiem. Kilka ulic dalej i kwadrans jeszcze drogi, a oto stajemy na placu katedralnym, na którym wznoszą się trzy monumentalne dzieła sztuki budowniczej: katedra, chrzcielnica i słynna wieża pizańska.

Z nich wszystkich, najoryginalniejszym zabytkiem XIII wieku, jest właśnie owa wieża, czyli dzwonnica, na której widok, obok podziwu, doznaje się mimowoli jakiegoś uczucia lęku,

jakiejś przesądnej trwogi, by się nagle na głowę nie zwała. Jest ona wewnątrz wydrążona, tak, że wygląda nakszałt olbrzymiej lunety, długiej na 54 metry a nachylonej pod kątem $85^{\circ} 32'$. Czy nachylenie jej jest umyślne, czy też spowodowane jakimś przypadkiem, tego nie tylko ja, ale nikt wyjaśnić nie umie i rzecz ta dotąd nie jest rozstrzygnięta. Z tej wieży, wielki Galileusz robił doświadczenia nad prawem spadku ciał, a ja z obawy, bym sam na sobie nie sprawdził tego prawa, już się nie piąłem na te ośm pięter, zwłaszcza, że na szczyt wieży prowadzi aż 294 schodów, a to stanowczo za duża porcja na moje strudzone nogi.

Z kolei powinienem rozpisać się o tutejszej katedrze, jako o najbliższej sąsiadce wieży; — ale że opisy kościołów zazwyczaj są tak monotonne, że już każdego znudziły, więc odstąpię od szczegółów i powiem tylko, że świątynia ta jest zbudowana w stylu tokańsko-romańskim; że pochodzi z XI wieku; że po pożarze w 1595 r. została przebudowana i że jest cała z białego marmuru, jak tyle innych świątyń w tym kraju. Wrażenie sprawia imponujące, — a i wewnątrz zawiera pierwszorzędne dzieła sztuki malarskiej, jak Ghirlandaja, Andrea del Sarto, tudzież stare freski Falconiego i mozaikowej roboty obraz

Cimabuego, przedstawiający Chrystusa z świętym Janem Chrzcicielem.

Prześliczna tutejsza chrzcielnica, podobna do olbrzymiej tiary uwieńczonej na szczycie brązowym posągim św. Jana, jest pod wielu względami ciekawym zabytkiem budownictwa z końca XIII wieku. Zarówno zewnętrzna jej architektura, jak i otaczająca wewnętrzną galeryę kolumnada, tudzież monumentalna ambona roboty Mikołaja Pisana, budzą powszechny podziw i zainteresowanie.

Ale co tu najwięcej zadziwia, to mianowicie echo, które najłżejszy głos odbija, potęguje i w najczystszy tonie go powtarza. Wrażenie stąd jest wprost nie do opisania. Gdy tutejszy „custode“ rzucił w przestrzeń tej ogromnej kaplicy kilka tonów: wnet mu odpowiedział z pod sklepienia jakiś niewidzialny chór śpiewaków, tak pełen dziwnej harmonii i mocy, że wstrząsnął mą duszę do głębi. Pod urokiem tego wrażenia i tej niebiańskiej muzyki, stałem jak oczarowany, wsłuchując się w te cudowne dźwięki, które „coraz czystsze i doskonalsze“ roztopiały się powoli w przestrzeni, „aż zmiłkły gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu...”

Jak my nazywamy nasze cmentarze „Bożą rolą“, tak Włosi zwą je „*Campo santo*“ czyli świętem

połem. Tu, nazwa ta zupełnie jest właściwa, gdyż cmentarz pizański pokryty jest ziemią przywiezioną z Jerozolimy, a więc w literalnem tego słowa znaczeniu — świętą. Zamyka on od północy ów plac katedralny i należy również do ciekawości Pizy. W krużgankach tego cmentarza, których ściany zdobią arcyciekawe freski *Andrea di Cione*, wyobrażające Tryumf śmierci i Sąd ostateczny, pełno szczątków starych posągów rzymskich, urn etruskich, dawnych sarkofagów, które w dziwny sposób kojarzą się z nowoczesnymi pomnikami takiej Catalani, Amadeusza Sabaudzkiego, słynnego naturalisty Massotiego i t. p. Stąd też cmentarz ten, wygląda raczej na jakieś muzeum osobliwości niż na cichy przybytek umarłych, przynajmniej w tem znaczeniu, w jakim my go pojmujemy.

U nas takich cmentarzy nie ma. Nasza „Boża rola“ jest uświęconem miejscem spoczynku dla tych, co już stąd odeszli i celem nie próżnej ciekawości, lecz pobożnej pielgrzymki i przestrogi dla żyjących. Jest ona miejscem szczególnej czci i modlitwy, a w potrzebie staje się nieraz karmicielką ludu i zamienia się w żyzną glebę. Zdarza się bowiem, że:

... .. cmentarz zaorzą
A na nim żyto posieją...

I kupa kłosów wyrośnie z ziarnka.
 O! jak to słodko i ładnie:
 Na piersiach ojca, córka żniwiarka,
 Mendel zbożowy układnie!
 Chcesz mię nagrodzić Ojczy światłości,
 Będę zapłacon obfito:
 Niech z moich kości, dla potomności,
 Wyrośnie kłosek lub żyto!*



* Syrokomla, w wierszu p. t. »Grabarz«.

FLORENCYA

Zmrok już zapadał, gdy pociąg kolei żelaznej zatoczywszy duże półkole od ostatniej stacyi, gdzie jakby dla nabrania oddechu, zatrzymał się tylko krótką chwilę, zbliżał się zwolna do Florencyi.

Z bijącym sercem spoglądałem z okien wagonu na to miasto wyłaniające się z otaczających je pagórków, na tę śliczną Florencję która tak wielką, tak dobroczynną rolę odegrała w dziejach cywilizacyi świata, która dała na wpół jeszcze wówczas pod wielu względami barbarzyńskiej Europie to, co ją miało odrodzić i uszlachetnić: dała jej poczucie piękna, dała jej sztukę!

Zmrok już zapadał. Tu i ówdzie widać było w domach połyskujące światelka, a i latarnie gazowe zapalono już na ulicach, — mimo więc może niezbyt odpowiedniej pory do zabierania znajomości z obcem mi miastem, mimo znużenia kilkogodzinną jazdą w arcyniewygodnym wagonie i czekającego mię w hotelu wypoczynku, —

puściłem się w labirynt nieznanych mi ulic i z ciekawością dalekiego pielgrzyma przyglądałem się panującemu na nich ruchowi; chłonałem uchem słodkie dźwięki tokańskiej mowy, tak różnej od weneckiego akcentu; przypatrywałem się ciekawie poważnym świątyniom i pałacom, i nie wiem jakim zdarzeniem, bo bez powziętego naprzód planu i zamiaru, po krótkiej chwili znalazłem się na placu Signorii, tem środowisku życia zarówno dawnej jak i dzisiejszej Florencyi.

Plac był w tej chwili prawie pusty. Na wprost mego wzroku widniała czarna głębia „Logii dei Lanzi“ a nagromadzone w niej posągi dłuta pierwszorzędných mistrzów, oświetlone z boku mdłym światłem księżyca, zdawały mi się być jakimś zbiorowiskiem duchów, które tu zeszły się na tajemniczą naradę. Po lewej mojej ręce wznosiła się groźna, potężna masa „Palazzo Vecchio“ zakończona wysoko strzelającą o kamiennych zębach wieżą, gmach jakby z jednolitego kamienia wzniesiony, którego kształt przypominał raczej obronną cytadelę niż siedlisko twórców i miłośników sztuki, jakimi byli rezydujący w nim Medyceusze.

Zapatrzony w te dziwy, sam stałem na placu. Nie sam, bo z memi myślami, które cofając się

wstecz ubiegłych wieków, zapełniły go w mgnieniu oka tłumem tych mężów, których imiona na kartach dziejów zapisały się niestartem głoskami. I oto, stanęli mi w oczach dawni mieszkańcy Florencyi: Dante, Giotto, Michał Anioł, Leonardo da Vinci, Galileusz, Macchiavelli, Boccaccio, Amerigo Vespucci, — i choć samotny, sam przecież nie byłem, bo te postacie zaprzątały w tej chwili mój umysł i zaludniły plac, na którym stałem z płonącą od tych myśli głową.

I widziałem ich wszystkich oczyma duszy. Tych wielkich, tych niezapomnianych, których imiona do głębi poruszają serca i tem są dla Florencyi, czem dusza dla ciała; którzy ją czynią wielką, nieśmiertelną i dla których pamięci warto już odbyć do tego miasta pielgrzymkę, zwłaszcza, że wszędzie tu po nich znajdziesz pamiątki, czy w arcydziele sztuki, czy w domach ich mieszkalnych, czy wreszcie powie ci o nich prosty kamień uliczny, jak ten na placu przed katedrą, na którym lubiał odpoczywać Dante.

A teraz obróciłem wzrok mój ku przeciwnej stronie „Palazo Vecchio“, gdzie według podania stała naprzód kazalnica a potem stos Savonaroli. I zda się, że słyszałem grzmiący głos tego asceetycznego mnicha, powstającego na zepsucie oby-

czajów, na upadek wiary, chłoszczącego bez li-
tości wszelki grzech, gdzie go się tylko zdawał
dostrzegać; obnażającego nieubłaganą ręką brzy-
dotę przywar ludzkich i w zapale reformator-
skim grożącego samemu nawet Watykanowi. Po
chwili, jakieś skry przebiegły mi w oczach:
wszakże to tutaj, na tem oto miejscu, w kilka
lat potem, ten sam lud, który w fanatycznem
uniesieniu rzucał się do stóp Savonaroli i jak
o jaki talizman ocierał się o rąbek szat jego,
stał w zbitej masie wobec stosu, na którym pło-
nął jego przewodnik duchowny, niedawne jeszcze
jego bożyszcze, przyglądając się chciwie a obo-
jętnie niezwykłemu widowisku, tej żywej a peł-
nej grozy pochodni!

Takie obrazy nasuwały się mojemu oku i ta-
kie są moje wrażenia z tej pierwszej chwili po-
bytu mego we Florencyi.



Dziwna jest kolej rzeczy ludzkich i dziwnie,
według dawnego przysłowia: „wszystko się ple-
cie na tym bożym świecie“. Potężne niegdyś
warownie zmieniają się z biegiem czasu w przy-
bytki muz; w obrębie dawnych amfiteatrów po-
wstają świątynie chrześcijańskie, i owa też „Log-

gia dei Lanzi“ którą przy świetle księżyca oglądałem wczoraj wieczorem, była przed wieki posterunkiem żołnierskim, coś niby w rodzaju dzisiejszego odwachu. Rozpierali się w niej poczawszy od XIV wieku, bo taką starą patynę nosi na sobie ten budynek, niemieccy landsknechci na żołdzie tokańskim, — a dziś oto, daje ona pod swym dachem bezpieczne schronienie dziełom Donatella, Benvenuto Celiniego i innych mistrzów dłuta, którzy tu teraz objęli komendę.

Stoją więc tutaj takie rzeźby, jak Perseusz Celiniego, jak porwanie Sabinki i Walka Herkulesa z Centaurem, wspaniałe dzieła dłuta Giovanni da Bologna, jak dziwnie piękna marmurowa grupa Pio Fedi'ego, przedstawiająca porwanie Polyxeny, jak słynna Judyta Donatellego, że inne pominę, gdyż nie chcę suchym rejestrem zaprzętać pamięci czytelnika, a na ocenę tych arcydzieł sztuki nie mam ani sił, ani odwagi.

Tak wygląda po dniu owa słynna „Loggia“, — ale nie tylko ona jedna godna jest podziwu na tym niezwykłym pod wielu względami placu.

Oto na straży „Palazzo Vecchio“ stanął kolosalny posąg Herkulesa z powalonym u nóg Kakusem, dłuta Bandinelliego, który pragnął tem dziełem zaćmić sławę Michała Anioła. Zaćmienie

wprawdzie niedopisało i geniusz Buonarottiego nie nie ucierpiało na tej rywalizacji, ale zyskał na niej rozgłos Bandinelliego, jako tego, który odważył się iść z mistrzem w zawody.

Po lewej stronie pałacu wznosi się obszerny wodotrysk, ozdobiony w pośrodku olbrzymią postacią Neptuna, a wykonany przez Bartłomieja Ammanatiego, o którym to tylko mam do nadmienienia, że, patrząc z uszanowaniem na gigantyczne rozmiary posągu, nie mogłem wyjść z podziwu, za jakie grzechy ten groźny bóg morza postawiony tu został na straży jakiegoś marnego źródła, które zaledwie że sączy się z razwartych paszcz trytonów, w ogromną część basenu.

Z zajęciem natomiast przyglądałem się stojącemu na tym placu pomnikowi Koźmy I Medyceusza, którego uwiecznił w spiżu Giovanni da Bologna, nie dlatego, by to dzieło sztuki, któremu zresztą znawcy oddają słuszne pochwały, tak mię zajęło swoim artyzmem, ale, że posąg ten wyobrażał księcia, który silną ręką chwyciwszy ster państwa, ugruntował jego powagę i wyniósł Florencję do godności stolicy wielk księżęcej.

Jest on wyobrażony na pomniku konno, z odkrytą, pysznie modelowaną głową, na której

błyszczący, jeśli nie myśl o szczęściu państwa, to z pewnością troska o jego wielkość i potęgę. Żelaznej woli i nieugiętego charakteru, choć nie posiadał on cnót swoich poprzedników, jednak odziedziczył po nich zamiłowanie sztuk i nauk i on to jest założycielem słynnej akademii florenckiej, oraz bogatego muzeum obrazów znakomitych malarzy.

Ciekawe są i pouczające koleje losów tego sławnego rodu, który bierze początek ze skromnego kramu kupieckiego, a obrotnością, energią i rozumem, dorabia się znacznego majątku, zajmuje potem najpierwsze urzędy w rodzinnem swem mieście i uwieńcza nakoniec czoło wielkksiążęcą koroną. Ród ten dochodzi z czasem do takiego znaczenia i powagi, że dumni królowie Francyi nie uważają sobie bynajmniej za uchybienie szukać małżonek w tej plebejuszowskiej rodzinie, która nawet na tronie wielkksiążęcym nie wyrzeka się swych kupieckich tradycji i zajmuje się, jak za dawnych, dobrych czasów, obrotem nagromadzonych kapitałów. Dwie córki z tego rodu, Katarzyna i Marya, poślubiają królów francuskich i dwaj Medyceusze, zasiadają na stolicy apostolskiej pod imieniem Leona X i Klemensa VII. Rządy Medyceuszów w Toskanii stają się złotym wiekiem dla sztuki i litera-

tury włoskiej, stają się owym słynnym w dziejach cywilizacji „wiekiem odrodzenia“, a imię założyciela ich potęgi Cosmusa, z pięknym przydomkiem „ojca ojczyzny“ († 1464), jak nie mniej imię Wawrzyńca Wspaniałego († 1492), za którego Florencya doszła do najwyższego intelektualnego rozkwitu, okryły się nieśmiertelną chwałą.

Potężne indywidualności, gdy ulegną nawet groźniejszej od nich potędze, bo śmierci, zostawiają jako pamiątkę po swoim ziemskim pobycie, wielkie i wspaniałe grobowce. Tak było od początku dziejów. Mojżesz poszedł umierać na niebotyczną górę, a Faraonowie wznosili dla swych prochów olbrzymie piramidy.

I Medyceusze też nie w lada jakich spoczywają grobowcach! Oto przy kościele *San Lorenzo* znajdują się aż dwie ich kaplice grobowe, z których większa, przeładowana bogactwem ozdób, lśniąca od ścian jaspisowych i drogich marmurów, zawiera pomiędzy innymi pomniki Ferdynanda I i Franciszka II, męża owej osławionej Bianci Capello, której burzliwe losy powszechnie są znane, — i mniejsza, istny klejnot architektury i sztuki, wzniesiona genialną

ręką Michała Anioła, z pomnikami dwóch Medyceuszów: Juliana († 1516) i Wawrzyńca († 1519), dłuta tego samego mistrza.

Oba te pomniki, wykute w białym marmurze, są arcydziełami sztuki rzeźbiarskiej. Na pomniku Juliana spoczywają postaci *Dnia* i *Nocy*, a grobowca Wawrzyńca strzeże *Zmierzch* i *Poranek*. Każda z tych dwóch figur wyobraża mężczyznę i kobietę. „Działanie ich na uczucia nasze — mówi Józef Kremer w swojej „Podróży do Włoch“ — jest wstrząsające. Jakaś niesłychana potęga i prawda, jakiś surowy, rodzimy majestat odycha w tych marmurowych ciałach“.

O jednej z tych postaci, o „Nocy“, uśpionej na pomniku Juliana Medyceusza, współczesny poeta Jan Strozzi, odezwał się w te słowa, które tu w naszym przekładzie podajemy:

Tę Noc, co tutaj słodko odpoczywa,
 Anielskie z głazu dobyło narzędzie;
 A że śpi tylko — więc przeto jest żywa,
 Nie wierzysz? Zbudź ją, a wnet mówić będzie.

A na to, robiąc aluzję do nieznosnych stosunków politycznych, jakie podówczas panowały w Toskanii, tak odpowiedział Michał-Anioł:

Póki trwa ucisk, niewola i znoje,
 Błogi sen w głazie, bo głaz nic nie słyszy;

Nie czuć, nie słyszeć, całe szczęście moje,
A więc mię nie budź i mów ciszej... ciszej!



Wróćmy się jeszcze do punktu naszego wyjścia, t. j. na plac Signorii, zwłaszcza, że opis jego byłby niekompletny, gdybyśmy zapomnieli o takim klejnocie, jak znajdujący się tu w pobliżu „Pałac Uffizi“ z najwspanialszą w świecie galeryą sztuk pięknych, zarówno w dziedzinie rzeźby, jak i malarstwa. Nie sądzicie jednak mili czytelnicy, że zacznę was trudzić i nudzić opisem nagromadzonych tu skarbów; że będę tonem profesorskim opowiadał o wyższości Venus Medycejskiej nad Venus Anadyomene? Broń Boże! daleki jestem od tego i ani się ważę fatygować was przez 126 schodów, które prowadzą do tej galeryi, gdyż wiem z własnego doświadczenia, jaka to utrudzająca wędrówka. Zostańmy więc przy ziemi i przejdźmy się obok tego pałacu ulicą wiodącą ku Arno, gdzie w niszach stoją posągi wielkich synów Toskanii. Nic bardziej wzruszającego nad tę wędrówkę pośród tych znakomitych mężów, z których każdy przywodzi ci jakąś niezapomnianą chwilę, spędzoną duchowo w jego towarzystwie. Teraz tu się ich wszystkich widzi w pobliżu siebie, obcuje się

niemal z nimi, ale obcuje ze czią i uszanowaniem, bo czuje się mimowoli, że w ich gronie jest się intruzem. Więc masz tu tych wszystkich wielkich Florentczyków, zaklętych w marmurowe kształty, których już raz, oczyma duszy, oglądałeś ze mną, w ową księżycową noc, na placu Signorii. Więc składasz tu głęboki pokłon Dante, Boccaciowi, Macchiavellemu, wielkiemu Aniołowi, Alfieremu, Petrarce i tylu innym, których Włochom zazdroszczą bogatsze od nich narody.

Jak już się zastrzegłem, do galeryi Uffizi prowadzić was nie będę, ale wypowiadam się z wrażenia, jakiego doznałem, gdym znalazł się tutaj w tak zwanej Trybunie.

Cóż to jest ta Trybuna?

Jest to ośmiokątna sala, w której znajdują się takie arcydzieła sztuki, że gdybyśmy je na pic-niądze szacować chcieli, to nie ma na nie dość wysokiej ceny, a gdybyśmy przystosowali do nich krytyczną miarę, to również wszelkie granice podziwu byłyby dla nich zamałe. Wystarczy gdy powiem, że w tej Trybunie znajduje się owo cudo świata, słynna Venus Medycejska, tuż przy niej młody Apollo zwany „Apollino“, dalej grupa mocujących się z sobą szermierzy i ów rozgłośniej sławy Szlifierz, w którego obli-

czu jedni widzą barbarzyńskiego Scytę, inni zwykłego niewolnika któregoś z rzymskich wielmożów; że tu wreszcie wita cię ów leśny grajek, kosmaty Faun, uważany za mistrzowskie dzieło greckiej sztuki; a z utworów pędzla, są tu trzy dzieła Rafaela, są płótna Tiziana, Michała Anioła, i innych, jest pokłon Trzech Króli, arcydzieło Albrechta Dürerra, słowem, nicoszacowany skarbiec klejnotów pierwszej wody, dla którego nazwa „królewski“ jeszcze byłaby zamała.

Otóż, gdym znalazł się wobec tylu arcydzieł, gdy duch mój zmierzył się z olbrzymią potęgą ducha ich twórców, których obecność tu się odczuwa, zdjął mię taki lęk niewypowiedziany, taki dreszcz przebiegł po mojem ciele, że jak skamieniały stałem pod rzuconym na mnie urokiem, i dopiero po dłuższej chwili, oprzytomniawszy z pierwszego wrażenia i skupiwszy się w sobie, spokojniej już rozglądałem się po tej zaczarowanej sali.

Takie odniosłem wrażenie z Trybuny, a również nie inne z całej galeryi „Uffizi“, jak niemniej z galeryi „Pitti“ którą nazajutrz zwiedziłem.



Florencya jest stolicą sztuki, więc nie dziw, że różnych galeryi i muzeów jest tu tak wiele, jak w żadnem innem mieście północnej Italii, a każde z nich cenne i ciekawe, a każde godne widzenia. Wierny wszakże danemu słowu, że nudzić was nie będę, wyrzucam z moich notatek to wszystko co trąci drobiazgowością i pedantyzmem, i pomijając inne ciekawości, prowadzę was tylko do muzeum archeologicznego.

Bogate i pouczające są jego zbiory.

Oto przed naszymi oczyma odsłania się starożytny Egipt i od razu wchodzimy tu w ten świat tajemniczy, na którego straży stoją zabalsamowane bóstwa świętych ibisów, błogosławionych chrząszczów i t. p., a minąwszy je z uszanowaniem, stajemy nagle w obliczu któregoś z Faraonów, wyrzezanem w porfirze, a pochodzącem z tak zamierzchłej przeszłości, że najostrożniejsi archeolodzy, pięćdziesiąt wieków mu liczą! — Spotykamy tu dalej grobowce i sarkofagi z Teb, Memfis, Sais i innych miast egipskich, a wreszcie mumie mężczyzn i kobiet, które z malowanych swych pudeł, nieruchomymi oczyma, dziwnie szyderczo na nas spoglądają. W tej sali wzruszyła mię trumienka egipskiego dziecka, które wyjęto z matczyngo grobowca i umieszczono tu w szklanej szafie, jako ciekawy okaz

takiej maleńkiej mumii... Ale najciekawszym dla mnie w tym zbiorze przedmiotem był dwukołowy wóz egipski, jedyny dotąd znany okaz tego rodzaju sprzętu wojennego. Pochodzi on z XIV wieku przed Chrystusem, a znaleziony został w owych stubramnych Tebach, w grobowcu jakiegoś wodza egipskiego. Podobny on jest z kształtu do znanych z rycin wozów wojennych greckich i rzymskich, do owych kwadryg na łukach tryumfalnych, tylko jest od nich lżejszym i lotniejszym.

A jak opisać sąsiadujące z tymi zbiorami zabytki starych Etrusków? Te cudne wazy, dzbany i czary, przepyszne pod względem formy i ornamentacyi; — te nieocenione zbiory starożytnych bronzów, wśród których „Chimera“, półtrzecia tysiąca lat liczący sobie bronzowy odlew tej iście apokaliptycznej bestyi, z lwią paszczą a ogonem węża, z której grzbietu wyrasta głowa rogatego kozła, — budzi chimerycznością swego pomysłu jakieś niepowszednie zdumienie.

A na to wszystko, o piętro wyżej, spada całun przepysznych gobelinów, z XIV i XV wieku naszej już ery, będących dumą i bogactwem słynnej galeryi „degli Arazzi“.



Mając zamiar udać się na plac del Duomo, ciekawe zrobiłem spostrzeżenie. Oto, jakkolwiek Florencia należy do pierwszorzędných miast włoskich o liczbie 200.000 mieszkańców i zajmuje rozległą przestrzeń, to jednak nigdzie w niej nie jest daleko; przeciwnie, to wszystko co godne widzenia, znajduje się jakby pod ręką, słowem, wędrowka po Florencyi bynajmniej nie jest utrudzająca. To też wkrótce po wyjściu z hotelu znalazłem się na placu katedralnym, wobec tej sławnej świątyni, poświęconej Matce Boskiej kwietnej (Santa Maria del Fiore) której budowa zaczęta w 1128 roku, ciągnęła się z górą przez trzy wieki. Jest to kościół imponujących rozmiarów, obliczony na pomieszczenie w swej nawie przeszło 20.000 pobożnych, o którym jedni mówią z przesadnym zachwytem, drudzy z umiarkowaną rezerwą.

Co do mnie, który okiem północnego barbarzyńcy spoglądałem na tę świątynię, który sądziłem o niej nie według tego com znalazł w podręcznikach ale według wrażenia jakie odniosłem, — wybaczcie herezyę, — nie bardzo nią byłem zachwycony. Zrobiła ona na mnie wrażenie olbrzymiego, kaflowego pieca, gdyż w podobny deseń jak w dawnych piecach, jest cała wyłożona różnokolorowymi marmurami, — a co

się tyczy jej architektonicznych kształtów, które Kremer nazywa włoskim gotykiem, to przyznam się, że wolę już czysty gotyk od tej pstroka-cizny.

Za to, przed spiżowemi drzwiami Ghibertiego, jednemi z trojga, które prowadzą do stojącego naprzeciw tej katedry Baptisterium, klękniście z podziwu! Michał Anioł nazwał je „wrotami raju“, i zaprawdę, w tej nazwie nie ma ani krzty przesady. Dziesięć obrazów, cyzelowanych z niezrównanym mistrzowstwem i artyzmem w metalu, składa się na te cudowne, dwuskrzydłowe wrota, a każdy z nich wyobraża jakąś scenę biblijną, a każdy z nich sam w sobie jest skończonym arcydziełem! Z nich wszystkich wszakże, zajęły mię najwięcej dwa szczególnie motywa, a mianowicie: historia biblijnego Józefa i odwiedziny królowej Saby u Salomona. Dwoje innych drzwi, prowadzących do tej przestawnej Chrzcielnicy, są również niepospolitemi dziełami sztuki, z których zwłaszcza drzwi roboty Andrzeja Pisano, przedstawiające życie świętego Jana Chrzciciela, budzą dla ich twórcy słuszne i ogólne uznanie.

W obrębie tego placu znajduje się wreszcie owa słynna dzwonica Giotto, stojąca swobodnie w małym oddaleniu od katedry, a w pobliżu,

wpuszczony w zewnętrzną ścianę jednego z domów ów kamień Dantego, na którym posępny twórca „Boskiej Komedyi“ lubił odpoczywać wieczorami i gawędzić z przyjacielem swoim Giottem o jego dzwonicy, której plan już wtedy rozwijał się w głowie artysty, a której jednak żaden z nich nie miał oglądać, gdyż tak Dante jak i Giotto, obaj zmarli przed ukończeniem tego dzieła.



Nazajutrz, w Wielką Sobotę, zaraz po śniadaniu, udałem się powtórnie na plac katedralny, aby skontrolować odniesione wczoraj wrażenie, — raz jeszcze nasycić oczy widokiem cudownych drzwi Baptisterium i dalszą, po innych dziwach Florencyi rozpocząć wędrówkę. Co do katedry, to ani na włos nie mogę odstąpić od tego, com wczoraj o niej powiedział. Wrażenie „kafla“ tak przyłgnęło do mego umysłu, tak mię prześladowało, że ani na chwilę otrząsnąć się z niego nie mogłem. A choć tuż przy mnie, dwaj jacyś inni „forestierzy“ na wiarę *Baedekera* zachwycali się widokiem tej katedry i w głos powtarzali jeden drugiemu, co tam o niej napisano, — podobni w tem do owych podróżników *Taine'a* którzy dopiero z książek dowiadują się

o rodzaju wrażeń jakich powinni doznać: ja pozostałem przy swoim, jeśli nie z racją której przypuszczam, że nie miałem, to z uporem rodowitego Mazura, któremu głowę tnij, a nic ze swego zdania nie ustąpi.

Gdy tak od dłuższej już chwili rozglądam się w otoczeniu, naraz dochodzą mię jakieś krzyki i nawoływania, odwracam więc głowę i spostrzegam ogromny wóz, zaprzężony w cztery białe jak mleko woły, a za tym wozem i obok niego, zgrają rozmaitych indywiduów, biegnących na wyścigi i wykrzykujących wesoło.

Co to być może? pytałem sam siebie, patrząc na tę niezwykłą kalwakadę, która powoli zbliżała się ku placowi katedralnemu. Poczwórny zaprząg wołów miał złożone rogi i jarzma ubrane kwiatami; niemniej wóz bogato był przystrojony, a na wozie wznosiła się olbrzymia piramida, sięgająca pierwszego piętra i uwieńczona na szczycie koroną.

Co to może być? myślałem, siłąc się na rozwiązanie zagadki, gdy wtem jakiś obdartus zbliża się do mnie i wtykając mi w rękę świstek papieru, woła: „*Carro de' Pazzi, signor! Carro de' Pazzi!*“

Widząc na świstku wizerunek tego samego wozu, który miałem przed sobą, daję solda obdar-

tusowi i usunąwszy się pod wystawę jakiegoś domu, zatapiam się w czytaniu. A tymczasem wóz staje przed głównymi drzwiami katedry; odprzegają woły i odprowadzają je w paradyż do domu, a natomiast wierzchołek piramidy łączą za pomocą długiego drutu, z wielkim ołtarzem wewnątrz kościoła.

Co to może być? pytam się w myśli po raz trzeci, bo oczy moje mają naraz dwa zajęcia: przelatują po drukowanych literach i kontrolują co się dzieje na placu, — więc jak łatwo się domyślić, nic dobrze nie widzą. Nareszcie przegram sam siebie, doczytuję mój świstek do końca i dowiaduję się następującej historii:

Jeden z Pazzich brał, według podania, udział z Godfrydem de Bouillon w wyprawie do ziemi świętej i pierwszy zatknął sztandar krzyżowców na murach Jerozolimy. Za ten czyn bohaterski, otrzymał w herbie koronę kamienną i prawo tryumfального wjazdu do zdobytego miasta. Wszedłszy do Jerozolimy, nie szukał on skarbów i łupów wojennych, tylko wziął z grobu Chrystusa trzy skałki, które po powrocie do Florencyi złożył kościołowi na ofiarę. Od tego czasu, przez długie wieki było zwyczajem, że z wykrzesanej przez kapłana z tego kamienia iskry, brali mieszkańcy Florencyi ogień dla siebie do domów.

Dziś obchód ten jest tylko pamiątką z przeszłości, legendowym zabytkiem, ale dawnego znaczenia już nie ma. Zajeżdża wprawdzie i dzisiaj ów niby tryumfalny wóz Pazzich przed wrota katedry; po przeprowadzonym od ołtarza drucie przebiega sztucznie wyrobiony gołąb i niesie w dziobie ogień zapalony zapomocą świętego krzesiwa, ale już nikt się o ten boski płomień nie troszczy, nikt się o niego nie ubiega. Zamiast domowych ognisk, zapala on obecnie rakiety znajdujące się na wozie i to w takiej liczbie, że przez kwadrans nic więcej nie słysząc nad ogłuszający huk wystrzałów i nic nie widząc, nad dym z prochu, unoszący się całymi kłębami.

A lud zebrany na placu chichocze, klaszcze i wyje, i podobno w dniu tego świętego obrzędu urządza z wielkiem powodzeniem gromadne łowy na kieszenie gapiących się na to dziwowisko cudzoziemców.



Wielkanoc!... Dziś muzea i galerie zamknięte, pozostają więc tylko kościoły, ulice i wycieczki pozamiejskie.

Ranną, jak zwykle porą, bo coś około godziny szóstej, wybrałem się w pierwszym dniu wielkanocnym do kościoła Sta Croce, tego Pan-

teonu wielkich ludzi, pewny, że o tak wczesnej porze nikomu nie będę przeszkadzał, gdyż wiedziałem z dawniejszego doświadczenia, że kościoły włoskie o tym czasie są prawie puste. Jakoż nie omyliłem się w rachubie. Oprócz kilku kobiet, klęczących przy bocznym ołtarzu, przy którym odprawiała się msza święta, w kościele zresztą nie było nikogo.

Przyklęknąłem pobożnie, co wywołało nawet pewne zdziwienie u modlących się florentynek i wysłuchałem w skupieniu całej mszy świętej.

„Wesołego Alleluja!“ westchnąłem serdecznie, odchodząc od ołtarza i zwracając wzrok mój ku ojczystej stronie, gdzie wszystkich mi drogich zostawił. „Wesołego Alleluja!“ niech tam i dla was rozbłyśnie dzień dzisiejszy, tak jak tu dla mnie, snopami jasnych, wiosennych promieni!

Kościół św. Krzyża, stoi na placu tegoż samego co i on nazwiska, który dopiero od chwili postawienia na nim pomnika Dantemu t. j. od roku 1865 nazywa się urzędownie placem Danta. Mnóstwo jednak ludzi zwie go po dawnemu, a choć imię wielkiego poety jest tak powszechnie czczone we Włoszech, że nie ma nadeń bardziej popularnego, to jednak nazwa św. Krzyża w więk-

szej jest jeszcze czci i poszanowaniu u ludu, skoro ją dotychczas plac ten zachował.

Pomnik Danta jest szlachetnie pojęty, harmonijny w liniach i piękny w całej swojej sylwecie. Poeta jest tutaj wyobrażony w stojącej postaci, z laurowym wieńcem na głowie, spowinięty w płaszcz, który drapuje się na nim w kształt rzymskiej togi, tak, że rąk prawie nie widać. U stóp poety spoczywa orzeł z wzniesioną ku górze głową, zapatrzony w myślącą twarz Danta, a podstawy pomnika lwy strzegą i bramują go dookoła tarcze z herbami miast włoskich. Pomnik wykonany jest z białego marmuru i dobrze się odcina od ciemnego tła świątyni i od otaczających go dokoła domów.

Słusznie kościół Sta Croce zowie się Panteonem florenckim. Posiada on jużto groby, już pomniki wielkich mężów Toskanii, których pamięć otoczona jest takim pietyzmem, — że co krok niemal spotyka się tu z ich nazwiskiem, to na placach, to w loggiach, to wreszcie w kościołach. I tu masz tedy, jak gdzieindziej, pomniki Danta, Michała Anioła, Alfieriego, Machiavela, Galileusza i innych; masz ciekawe freski Gaddiego, Geriniego i Ghirlandaja, wśród których jak słońce pomiędzy gwiazdami, świeci dzieło mistrza Giotto, *opus magistri Jocti*, przed-

stawiające koronację Boga Rodzicy. Ale ponad to wszystko, masz tu coś więcej jeszcze: masz to, co wzrok twój i serce mimowolnie przykuje do siebie; masz kilka pomników polskich, które tu, na dalekiej ziemi, przypomną ci ojczyznę twoją i prosić cię będą o polski pacierz przy ich samotnym grobie...

Więc w rzewnej zadumie czytać tu będziesz nazwiska: Bogorii Skotnickiego, Michała Ogińskiego, Zofii z Kickich Cieszkowskiej i tej „kochającej Boga i Ojczyznę Polki“ Zofii z Czartoryskich Zamoyskiej († 1837), której zwłoki w tym kościele spoczęły.

A pomnik jej, jest niezwykle dziełem sztuki i nielada mistrz wykował go w marmurze! Słynny rzeźbiarz Bartolini położył na nim piętno swego wielkiego talentu, a znawcy sztuki mówią o tej jego pracy, że niewiele sobie równych w tym rodzaju liczy. Przedstawia on nieboszczkę spoczywającą na łożu, jakby w uśpieniu, z takim błogim spokojem rozlanym na twarzy, że doprawdy aż się jej zazdrości tego snu i tych rajskich obrazów, które ją w nim nawiedzają.

A gdy masz już opuszczać ten kościół, raz jeszcze zwracasz się ku tym pomnikom, jakbyś im został coś dłużny, i mimowoli usta twoje składają się w cichy szept modlitwy: o światłość

wiekuistą dla tych, którzy w cieniu tych grobowców spoczęli.



Dość już jednak tego przeglądu muzeów, galerii i kościołów, bo aż w głowie się mąci od zebranych wrażeń! Chodźmy na ulice odetchnąć świeższem powietrzem i przyjrzyć się kipiącemu na nich ruchowi, a może w przelocie schwycimy jakiś obrazek, który warto będzie zachować w pamięci.

Wierni jednak wspomnieniom polskim, łączącym nas z Florencją, pójdźmy wprzód na ulicę Montebello odwiedzić dom, w którym przez długie lata przemieszkiwał słodki śpiewak »Lirenki«, a który tak piękne w pamięci sąsiadów zostawił po sobie wspomnienie, że każde dziecko wskaże ci dom, gdzie mieszkał „signor Theofilo“ a nawet doda, że był on „celebre poeta pollaco“. Dom ten, oznaczony numerem 18-tym, nie wyróżnia się niczem od otaczających go domostw, jest skromny i niepokąźny, jak wszystkie zresztą inne na tej ulicy, posiada tylko na wysokości pierwszego piętra tablicę marmurową z datą śmierci Lenartowicza i z jego popiersiem, dłuta, jeśli się nie mylę, rzeźbiarza Zawiejskiego.

A na placach i ulicach Florencyi niemało jest do widzenia. Posiadają one z dawnych czasów dużo wspomnień i dużo średniowiecznego uroku; mają piękne pałace i wspaniałe świątynie, a na obszernych placach wznoszą się pomniki Danta, Garibaldiego, Manina, Wiktora-Emanuela, Medyceuszów, — że tu przerwę dalsze ich wyliczanie, gdyż te tylko wymieniam, które naocznie oglądałem.

Największą jednak dumą Florencyi, jest istniejąca od niedawna, bo dopiero od 1868 roku, wspaniała promenada, pod nazwą „Viale dei Colli“, wysadzona na całej swej przestrzeni podwójnym rzędem drzew, i w łagodnych skrętach wznosząca się ku górze, aż do słynnego placu Michała-Anioła.

Ileż ja temu uroczemu miejscu winien jestem wrażeń i widoków! Ztąd roztacza się na całą Florencyę najcudowniejsza panorama, której przyglądałem się codziennie długimi godzinami, a zawsze pełen nieopisanego czaru i zachwytu. I w tej nawet chwili, gdy kreślę te słowa, stoi mi w oczach ta śliczna Florencya, w obramowaniu wzgórz, w wieńcu otaczających ją ogrodów, przepasana srebrną wstęgą Arna, z zębata wieżą pałacu Signorii i wspaniałą kopułą Brunelleschiego na katedralnym kościele, tak jak ją

niedawno jeszcze w wysokości tego placu oglądałem i której widokiem raz jeszcze w życiu pragnąłbym wzrok mój nasycić!

W środku placu wznosi się olbrzymi posąg Dawida, nazywający się też „*il gigante*“, dłuta Michała Anioła, a raczej odlew bronzowy tego arcydzieła, którego oryginał znajduje się w tu-tejszej Akademii sztuk pięknych. Jakiej wartości jest to dzieło florenckiego mistrza, dość przytoczyć zdanie jednego z najznakomitszych krytyków włoskich, Vasari'ego, który powagą swoją zaręcza, że Dawid Michała Anioła o wiele prześciga podobne dzieła greckiej i rzymskiej sztuki, daleko zostawiając je po za sobą. W zdaniu tem, zamyka się też to wszystko co o tem niepospolitem dziele młodego Buonarotiego powiedziećby można, a z własnej obserwacyi to tylko dodam, że posąg ten, na obszarze tego placu, daleko większe na mnie zrobił wrażenie, niż jego pierwotny wzór, znajdujący się w Akademii.

Gdy tak poddaję się uroczym wrażeniom, przenosząc wzrok z posągu Dawida na leżącą u stóp moich Florencyę, naraz dochodzi mię melodyjny głosik:

— „Ach, jak tu ślicznie mateczko!“

Oglądam się: przede mną stoi piękna postać czterdziestoletniej może kobiety, o rysach po-

ważnych i szlchetnych, a obok niej młode dziewczę, zupełnie jak ta z piosenki, co to „z buzią jak malina, a jej oczy gwiazdki dwie“ i w słodkiej, ojczystej mowie szczebioce dalsze swoje zwierzenia.

Nie zdradzając się z moją narodowością, wyteżyłem jak zając słuchy i łowiłem tę nutę serdeczną, która w tych różowych ustach dzwiała jak pieśń słowicza.

— Ach! jak tu ślicznie mateczko! — mówiła dalej; — zupełnie jak w tym sonecie Gaszyńskiego, cośmy go niedawno czytały! — I nie czekając na potwierdzenie matki, która z pobłażliwym uśmiechem słuchała jej szczebiotu, poczęła deklamować z przejęciem:

Nimfo z nad Arno, w wonne imię przystrojona,
Marząca na usłanej kwiatami dolinie,
O chwale twej przeszłości, której ślad nie zginie,
Bo i pędzłem i dłutem i lutnią wślawiona.

Kto czuje wieszczy zapach wśród młodego łona,
Spiesz z sercem artysty ku włoskiej krainie,
Pewno twych średniowiecznych murów nie ominie,
Bo na nich długo kwitła potrójna korona

Sztuk pięknych; bo malarze, snycerze, poeci,
Biegli zewsząd na pierś twą i pod skrzydła twoje,
Jak pszczoły do pasieki, jak ptaki nad zdroje!

Świętaś ty między miasty! bo w gronie twych
dzieci,
Których imiona błyszczą w pamiątek świątyni,
Był Dant i Bounarotti, Vinci i Cellini!

Tym sonetem, który z tak pięknych ust wy-
dzwonił chwałę Florencyi i ja kończę pobieżne
o niej wspomnienie.



W REPUBLICE SAN MARINO

W REPUBLICE
SAN MARINO

Powiedz mi ekscelencyo, — pytał swego ministra groźny władzca jakiegoś miniaturowego państewka w dawnej rzeszy niemieckiej, — co to za zapach drażni moje powonienie?

— Serenissime, — odparł z głębokim ukłonem dworak, — to w sąsiednim mocarstwie palą kawę!

Ten dowcip z *Fligende Blätter* przyszedł mi na myśl, gdym wjeżdżał w granice Rzeczypospolitej San Marino, tego najmniejszego na całym kontynencie kraiku, którego obszar obejmuje zaledwie 60 kwadratowych kilometrów, a ludność nie o wiele przenosi liczbę 8000 mieszkańców; który jednak mimo szczupłości swojej, mimo tylu burz huczących naokoło niego i grożących mu zagładą, dotąd zachował swoją odrębność od reszty Włoch, i to tak dalece, że nie tylko posiada rząd własny, prawa i wojsko, ale ma nawet własny hymn narodowy i bije własną monetę.

O tym kraiku, przyznam się szczerze, mało dotąd wiedziałem i nigdy mi jakoś na myśl

nie przyszło zajrzeć do tego zakątka ukrytego w głębi nadmorskich Apenin, aż dopiero ostatnia moja wycieczka do Rimini, skłoniła mię do zwiedzenia tej Republiki, która jest najbliższą jego sąsiadką, gdyż graniczy z nim, jak to mówią, o miedzę.

Zaledwie wyszedłem z hotelu i stanąłem na placu Cavoura, który jest centralnym punktem w Rimini, natychmiast obkoczyli mię veturini ofiarując swoje usługi i zachęcając do zwiedzenia San Marino. Nagabywania ich były tak natrętne i natarczywe, że zaledwie z trudnością zdołałem powstrzymać ich ataki, zwłaszcza, że bynajmniej nie miałem zamiaru, prosto z wagonu, puszczać się w dalszą podróż, temcibardziej, że zbliżał się wieczór, a droga zapowiadała się daleka i nużąca. Ale nazajutrz, o wczesnej godzinie, sam już zacząłem starać się o veturina.

— Ile żądasz za jazdę tam i z powrotem? — zapytałem jednego.

— Trzydzieści lir — odparł, kładąc mi rękę na ramieniu, jakby tym ruchem chciał wziąć mię w swoje posiadanie.

— Porzuć go, signor, — zawołał inny — ja zawiozę za dwadzieścia!

I zaczęła się licytacya in minus, a rezultat jej był taki, że po wielu kłótniach i targach o mnie

i ze mną, zgodziłem w końcu jednego z nich za 8 lir, i za chwilę, mój woźnica dumny z odniesionego zwycięstwa, puścił się pędem po gładkiej jak deska drodze, pogwizdując wesoło i paląc z bicia, jakby mię wioził w konkury do narzeczonej.

Ale ta szybka jazda trwała niedługo. Już przy ósmym kilometrze koń zaczął ustawać, a przy czternastym, tam gdzie kończy się granica królestwa włoskiego a zaczyna rząd Rzeczypospolitej, szedł noga za nogą. Bo też i droga wijąca się jak wąż olbrzymi, zaczęła piąć się w górę i to tak stromo, że widniejące w oddali San Marino, zdawało się nam tu u dołu, być raczej jakimś sępiem gniazdem zawieszonem na szczycie potężnej skały, niż stolicą Rzeczypospolitej, do której zdążaliśmy z taką niecierpliwością.

W ciągu trzechgodzinnej jazdy, potrzebnej na przebycie odległości z Rimini do San Marino, miałem czas przypatrzeć się okolicy.

Kto jest miłośnikiem dzikiej i romantycznej przyrody, niech tu przybywa a nie pożałuje fadygi. Kraj to pustylny, skalisty, zgarbiony pod ciężarem gór które dźwiga na sobie, przytłoczony potężnymi ciosami kamieni, a jednak na tym skalistym gruncie, uprawianym w ciężkim znoju i pocie czoła, kwitną kasztany, wschodzi

zboże, dojrzewa winograd, słowem, jest to kraj, mimo najmniej ku temu sprzyjających warunków, dobrze i racjonalnie uprawny i wskutek tego zamożny.

Na te falujące wzgórza, na te piętrzące się skały, trudno iść z pługiem lub broną: więc pilni rolnicy kruszą oskardami twarde kamienie, z odległych dolin dźwigają w koszach ziemię i dopiero na tak użyźnionych grzędach sieją zboża lub sadzą drzewa, których owoce i plony słodką być muszą nagrodą ich trudów.

— Jaki jest wasz główny produkt handlowy? pytałem mego woźnicy.

— Kamień, panie, — odparł z taką dumą, jakby mi mówił o sztabach złota.

Zaprawdę, pomyślałem sobie, ziemia która kamienie rodzi, a kwitnie ładem i dobrobytem, warta być krainą wolności.

I odeszła mię w tej chwili ochota porównywania tego kraiku z owem niemieckiem państwem, gdzie zapach palonej zagranicą kawy drażnił nos jego książęcej mości, — i w głębokiej zadumie przypatrywałem się tej ziemi, której kamienie w chleb się zamieniają...

Tymczasem mój veturino, nie spiesząc się bynajmniej, gawędził sobie w najlepsze z koniem, który jakby rozumiał zwrócone do siebie

słowa, to im potakiwał głową, to znów potrząsał nią z niechęcią, ilekroć pan jego palnął mu nad uchem z bata, co widocznie było ulubioną zabawką veturina, ale mniej za to bawiło konia. W ten sposób, wlokąc się noga za nogą, zbliżaliśmy się do stolicy, która już widniała jak na dłoni (złe to w tym wypadku ale utarte porównanie), lecz dostać się do niej nie było jeszcze tak łatwo.

Przed nami piętrzyła się prawie pionowa skała, (Monte Titano) groźna, potężna, niedostępna, — dźwigająca jak Atlas na swych szerokich barkach obwodowe mury miasta, które co raz bliżej, coraz to wyraźniej występowały na widownię; po za nimi wyłaniały się zębate wieże starego zamczyska, zarysowywały domy i świątynie, słowem, jakiś gród średniowieczny z całą swą dawną fantastycznością i archaiczną patyną, odślaniał się zdziwionemu oku, nieprzygotowanemu do podobnych niespodzianek.

A koń włókł się jak z mazią! Nareszcie po długiej chwili niecierpliwego oczekiwania, po przebyciu kilku jeszcze zakrętów, stanęliśmy w samo południe u głównej bramy miasta.

Brama ta, przypominająca naszą Floryańską w Krakowie, nosi cechę zupełnej średniowieczyny. Tak jak Floryańska ozdobiona jest her-

bami i tak jak tamta budzi szacunek dla swej sędziwej przeszłości.

Przez tę bramę dostałem się do stolicy Republiki i prosto już, pnąc się z trudnością pod górę, zdążałem na plac gubernatorski, który jest sercem miasta, bo tu koncentruje się całe jego życie publiczne i tu się mieści rząd Rzeczypospolitej.

Plac to bardzo ładny. W środku, przed nowym pałacem regentów, zbudowanym w stylu gotyckim i przypominającym na pierwszy rzut oka „Palazzo vecchio“ we Florencyi, choć naturalnie w miniaturowych rozmiarach, wznosi się prześliczny posąg wolności (statua della libertà) czuwający niby duch opiekuńczy nad tą „żrenicą oka“ tego kraju, — jak to my zwykle nazywaliśmy naszą „złotą wolność“, której dla tego, że była *złota*, nie umieliśmy uszanować i roztrwoniliśmy ją lekkomyślnie. Po za tym pałacem i tym posągiem, wykutym z białego marmuru, jest tu jeszcze godny uwagi katedralny kościół św. Marinusa, patrona i założyciela Republiki, którego fasada wzniesiona jest w szlachetnym doryckim stylu, — i pamiątkowy dom, w którym Garibaldi chronił się przed pościgiem Austryaków. Zresztą, jest to sobie małe miasteczko — „piccola citadina“ — o liczbie 1600 mie-

szańców, ale wartość jego moralna jest duża. Nie tylko że potrafiło ono zachować dotychczas swoją niezależność, nie tylko że rządzi się wzorowo, bo dochody miasta przewyższają o wiele jego wydatki (w nawiasie dodam że Republika żadnych długów nie ma) — ale idzie z postępem czasu, zakłada szkoły, zaprowadza rozmaite ulepszenia, posiada liceum i własną kasę oszczędności, która znacznymi obraca funduszami, słowem, stoi na wysokości innych miast stołecznych, bez ich pretensyi do wielkości i bez ich wielkomiejskich zachcianek.

Nie sądzcie jednak, by to miasto i ten kraj były na wskroś republikańskie, że tu panuje bezwzględna równość. Przeciwnie; mają i tu swoją arystokrację, dawny patrycyat miejski, który jest w wielkiem poszanowaniu. Z łona tego patrycyatu wybiera lud jednego ze swych regentów, gdy drugi, dzielący z nim władzę, powoływany bywa ze stanu gminnego, czyli z tak zwanych plebejów. W ich rękę skupia się cały zarząd miasta i Republiki. Aby się jednak nie wbili w dumę, lub nie przedzierzgnęli w tyranów, rząd ich trwa bardzo krótko. Po półrocznem panowaniu w pałacu gubernatorskim, ustępują oni miejsca innym i tak, co sześć miesięcy zmieniają się wielkorządcy, a podobno nie ma

dziś wybitniejszego mieszkańca w San Marino, któryby tej godności nie piastował.

Regenci przewodniczą „Wielkiej radzie“, która składa się z 60 członków, a mianowicie z 20 patrycyuszów, 20 mieszczan i 20 rolników, czuwających wraz z nimi nad losami Republiki, a ich uchwały i rozporządzenia są prawem dla ogółu mieszkańców.

A kiedy zasiadają na stolicy, by przewodniczyć tej radzie, to przywdziewają uroczysty strój, składający się z biretu obramowanego gronostajami i z poważnej togi spadającej do kolan; przypasują do boku szpadę a na szyi zawieszają wielką wstęgę z orderem św. Marinusa, — który, po odbytej ceremonii, wraz z tym średniowiecznym strojem, zawiesza się aż do przyszłego posiedzenia na kołku, bo nie wypada regentom w powszednim życiu, wyróżniać się w czemkolwiek od reszty współobywateli.

Ten pompatyczny ceremoniał wydaje się nam śmiesznym, — ale jest on dla tego w poszanowaniu, że uświęciła go tradycja. Wszak i w postępowej Anglii, do dziś dnia, tak jak za dawnych czasów, sędziowie urzędują w wełnianych perukach.

Armia państewka liczy na ogół 950 ludzi, z których tylko 60-ciu należących do milicyi

miejskiej pełni czynną służbę; dalej z przybo-
cznej gwardyi „Wielkiej rady“ i z oddziału żan-
darmów, ale o ile mi wiadomo, ani ta siła zbrojna,
ani żandarmi, nie mieli nigdy sposobności użycia
broni i cała ich wojskowość polega na tem, że
w dniach uroczystych obchodów, defilują oni
przed pałacem regentów z muzyką i ze sztan-
darem.

Oto i wszystko, co o tej Republice powiedzieć
można. Założona w III-cim wieku chrześcijaństwa,
trwa do dziś dnia, dumna ze swej tradycyi i ze
zdobytej od wieków niezależności. Szczęśliwi są
mieszkańcy tego małego kraiku; szczęśliwi, bo
nie zazdroszczą innym krajom, ani ich obszarów
ani pozornej świetności.

Kiedy w roku 1797 jenerał Bonaparte ofiaro-
wywał Rzeczypospolitej San Marino przyjaźń
Francyi i obiecywał jej przysłać w darze armaty,
zboże, oraz powiększyć terytoryum, skromni
mieszkańcy odpowiedzieli zwycięzcy Włoch w te
słowa: „armaty przyjmimy z wdzięcznością,
gdyż zdadzą się do obrony kraju; za zboże za-
płacimy gotówką, a co się tyczy rozszerzenia
naszej Republiki, to dość czujemy się szczęśliwi
w szczupłych naszych granicach, by się łakomić
na cudze“.

Godna to odpowiedź mędrców i republikanów.

Trzecia godzina uderzyła na miejskim zegarze i mój veturino zajechał. Szybko spuszcza-
liśmy się z góry ku dolinie, na której w oddali
widać było wieżycę Rimini, a tuż za niem błę-
kitny pas Adryatyku, który na horyzoncie łączył
się z takimże drugim pasem pałającego od sło-
necznych blasków nieba, zlewając się z niem
w jedno olbrzymie morze roztopionego szafiru.



TAJEMNICZY
GRÓB W OSSIAKU

TALBENICZY
GRÓB W OSSIAKU

Fatalnym w następstwa dla Polski był dzień 11 kwietnia 1079 r.

W dniu tym, padł z ręki Bolesława Śmiałego biskup krakowski Stanisław ze Szczepanowa, a śmierć jego wstrząsnęła do posad młode, bo zaledwie od lat stu istniejące państwo i na długo potem pograżyła je w otchłań upadku i domowych zamieszek.

Od lat już kilku, przed tym dniem nieszczęsnym, który pozbawił Bolesława Śmiałego korony ziemskiej a koronę męczeńską włożył na czoło zamordowanego biskupa, wrzała pomiędzy nim a królem głucha walka, której przyczyny dotąd są nieznane i bodaj czy kiedykolwiek, z braku źródeł, zostaną wyjaśnione.

Jedni przypuszczają, że pobudką do tak strasznego czynu Bolesława, był zatarg pomiędzy nim a biskupem o wyjęcie majątków kościelnych z pod władzy państwowej, na co król żadną miarą zgodzić się nie chciał, gdyż jak wszyscy jego poprzednicy dążył do jednowładztwa i wolę swoją stawiał po nad wszelkie prawo;

drudzy utrzymują, że okrutne postępowanie króla z rycerstwem które go opuściło w wyprawie kijowskiej, ściągnęło nań klątwę biskupa, zaczęła poszła tak straszna zemsta; — a inni wreszcie, jak w najnowszych czasach Gumpłowicz, robią ze św. Stanisława rzecznika obrządku słowiańskiego, którego król miał być zaciętym przeciwnikiem: ale są to tylko hipotezy, na żadnem historycznem źródle nie oparte.

Bądź co bądź, zbrodnia została spełnioną, wywołała powszechne oburzenie i król musiał uchodzić z kraju. I tu znów napróżno dociekamy przyczyn tego kroku, niepewni, czy zmusił go do tego bunt własnych poddanych czy inne jakie, nieznane nam bliżej pobudki?

Wiemy tylko tyle, że po ucieczce z Polski, schronił się Bolesław na dwór węgierski, że przebywał tam czas jakiś, — lecz co się z nim później stało, znowu jest osłonięte tajemnicą.

I w tym wypadku jedni twierdzą, że będąc niewygodny dworowi węgierskiemu dla swej buty i wyniosłości, został skrycie zamordowany; inni, że wpadłszy w szal zginął samobójczą śmiercią: słowem, domysłów nie brak, tylko brak na nie dowodów.

Jest wszakże jedno jeszcze podanie, które mówi, że Bolesław dręczony wyrzutami sumie-

nia, starty w swej dumie, opuszczony przez własnych poddanych, wziął kij pielgrzymi w rękę i w dalekim klasztorze, gdzieś na granicy Włoch i Karyntyi, na pokucie zakończył życie.

Jeśli to legenda tylko — powiada Szujski, „to ma ona za sobą najwięcej prawdopodobieństwa“.

Leżało bowiem w duchu owego czasu, że za wielkie zbrodnie nakładano na siebie dobrowolnie wielką pokutę. Całe średniowiecze roi się od tego rodzaju pokutników, którzy dla odkupienia grzechów, już to odbywali pełną przygód i niebezpieczeństw pielgrzymkę do Rzymu lub Ziemi świętej; już to na całe życie zamykali się w klasztorach lub w samotnych wieżach; już to — jak biskupi wygnani ze swoich diecezji, udawali się jako misjonarze do pogańskich krajów i tam ginęli męczeńską śmiercią.

Takim dobrowolnym pokutnikiem, mógł być także nasz Bolesław Śmiały.

Podanie mówi, że król po opuszczeniu dworu węgierskiego, udał się do klasztoru Benedyktynów w Ossiaku, gdzie w ukryciu, pełniąc najniższe posługi „opłakiwał w boleści i żałobie czyn swój zuchwały“.

Oddawna już było mojem pragnieniem poznać to miejsce pokuty i wiecznego spoczynku nieśczęśliwego króla, to też w jesieni 1902 roku

udając się w podróż do Włoch, zatrzymałem się w jednym z większych miast Karyntyi, a mianowicie w Villach, a stamtąd, po kilkugodzinnym wypoczynku, pojechałem do pobliskiego Ossiaku.

Deszcz lał jak z cebra; chłodny wiatr jesienny przejmował do kości; nad wieńcem gór, w których okoleniu rozlewa się wydłużone zwierciadło ossiackiego jeziora, unosiła się mgła gęsta, zasłaniająca wyniosłe ich szczyty, a fale jeziora, z głuchym szumem rozbijały się o brzegi.

W takim to dniu posępnym i dżdżystym, prze-wiółszy się łodzią przez jezioro, na którego zachodnim brzegu wznoszą się mury opustosza-łego dziś klasztoru Benedyktynów, — stanąłem u celu mojej pielgrzymki.

Przez sklepioną bramę dostałem się w obręb dawnych budynków klasztornych, — lecz długo błądziłem nie spotkawszy nigdzie żywej duszy, zanim kierowany tylko instynktem, odszukałem wejście do kościoła.

Lecz i tu doznałem zawodu.

Dzień był powszedni, więc i kościół zamknięty, a ja nie wiedząc gdzie i do kogo się udać, sta-łem bezradny na deszczu i chłodzie i dla zabi-cia czasu, rozglądałem się po małym podwórku przytykającym do kościoła.

Błądząc tak wzrokiem dookoła, spostrzegłem naprzód umieszczony na zewnętrznym murze jakiś odwieczny kompas „dawno już z słońcem w niezgodzie“, bo skrzywiony jego indeks pokazywał, jak ów zegar w horeshzkowskim zamku „południe o zachodzie“, a rozglądając się dalej, ujrzałem drugie drzwi wchodowe, a przy nich wiszącą rączkę od dzwonka, za którą machinalnie pochwyciłem.

Zanim mi jednak otworzono, upłynęła znowu długa chwila nudnego oczekiwania, więc puściłem oko na dalszą wędrowkę, pragnąc zatrzymać w pamięci to, co się odbiło na jego siatkówce.

I szczególnym trafem, spostrzegłem zawieszony nad temi drzwiami podłużny obraz, w rodzaju supraportu, przedstawiający trzech, jak się na pierwszy rzut oka zdawać mogło, zakonników. Gdym się mu jednak bliżej przyjrzał, odróżniłem po lewej jego stronie postać, która acz w zakonnych szatach, nie mogła wszakże być zakonnikiem. Przedstawiała ona zakapturzonego pielgrzyma, z długą, siwą brodą, okręconego od szyi do pasa łańcuchami i trzymającego w rękukij pątniczy. Przy pielgrzymie, stał utkwiony w ziemię miecz średniowieczny, którego rękojeść była zakończona główką orła. Obok, po

prawej stronie obrazu, stali dwaj mnisi z pastorałami w ręku, a więc widocznie jacyś zwierzchnicy zakonnicy, zwrócenie obliczem ku pielgrzymowi.

I wnet mi przez myśl przebiegło, że obraz ten nie może przedstawiać kogo innego, tylko naszego Bolestawa w chwili gdy szukał schronienia w tutejszym klasztorze.

Zainteresowany tym obrazem, na który nikt przede mną nie zwrócił uwagi, już nie sarkąłem na los, który mi kazał tak długo czekać na deszczu, a gdy nareszcie klucz w zamku zazgrzytał i w drzwiach ukazał się miejscowy proboszcz ks. Lorenz Franta, to po odbyciu ceremonii wzajemnego przedstawienia się, wręcz zagadnąłem go o znaczenie tego obrazu?

— Przedstawia on portrety trzech naszych opatów, — odparł uprzejmie; — ale proszę pana do środka, boś pan zmoczony do nitki.

— Wybacz księżę proboszczu — odrzekłem — że nim skorzystam z pańskiej gościnności, pierw muszę przyjść do ładu z tym obrazem, który według mego przypuszczenia, zupełnie co innego przedstawia.

Zdziwiony tym protestem proboszcz, stanął obok mnie i osłonięty moim parasolem, przyglądał się obrazowi i z uwagą słuchał moich wywodów.

— Tak jest, odparł po namyśle; masz pan zupełną słuszność: obraz ten przedstawia niewątpliwie waszego króla, ale, że nie osobliwego pędzla i nie tak znów stary, bo jak sądzę pochodzi z XVII wieku, więc niech pana nie dziwi, że poprzednicy moi obeszlili się z nim bez ceremonii.

— Zawsze to jednak ciekawy zabytek, stwierdzający dawną tradycję, — wtrąciłem nieśmiało — i należy mu się odpowiedniejsze miejsce, niż to gdzie się obecnie znajduje.

Spieszno mi teraz było do grobu Bolesława, więc krótko zabawiłem w mieszkaniu proboszcza do którego mię wprowadził, — przelotnie przejrzałem księgę pamiątkową, w której kazał mi się zapisać, i nie tracąc czasu na zdawkowe grzeczności i puste frazesy, prosiłem ks. Frantę, by zechciał być moim przewodnikiem.

— Od czego zaczniemy, zapytał, od cmentarza czy od kościoła?

— Idziemy pomiędzy zmarłych, odrzekłem, — zaczniemy więc od cmentarza.

Znacie zapewne nasze wiejskie cmentarze, ciche, spokojne, niosące do duszy dziwne jakieś ukojenie, pachnące od polnych ziół i macierzanek; z zatkniętymi gęsto krzyżami, pochyłonymi od starości i z miłością czuwającymi nad

tą ziemią, którą przygarnęły w ramiona? Otóż, taki to właśnie wiejski cmentarzyk, dziwnie uroczy swoją prostotą, przytyka do tutejszego kościoła.

Od strony północnej kościelnego muru, ku któremu właśnie kierowaliśmy kroki, znajduje się grobowy kamień naszego Bolesława, na którym wyobrażony jest osiodłany koń z napisem w otoku: „Rex Boleslaus Polonie occisor sancti Stanislai epi. cracoviensis“. Z głębokiem wzruszeniem zbliżałem się do tego miejsca uświęconego tradycją, otoczonego urokiem legendy tak drogiej polskiemu sercu, — do tego miejsca wiecznego spoczynku króla wygnança, który dumną swą głowę i cały swój ziemski majestat ukorzył przed trybunałem pokuty i „opłakując w ciężkiej żałobie czyn swój zuchwały“ błagał tu zmiłowania Bożego.

A gdy już byłem tak blisko, że mogłem dobrze widzieć i kamień grobowy i otaczające go żelazne kraty, dziwnego doznałem wrażenia.

Umocowany na kratkach złocony napis, po którym jak łzy spływały gęste krople deszczu, pozdrowiał mię słowami:

SARMATIS PEREGRINANTIBUS SALUS

Mimowolnym odruchem odśloniłem głowę. To pozdrowienie, które nieszczęśliwy król zasyłał z po za grobu pielgrzymom polskim pamiętającym o nim na wygnaniu, ogromnem przejmowało wzruszeniem*.

— Pokój twym popiołom, o królu!... Otom pielgrzym daleki, który umyślnie przybył w te strony, by złożyć ci hołd synowski; podumać przy twoim grobie o dawnej wielkości ojczyzny, której ty byłeś jednym z budowniczków i uczyć się od ciebie cierpieć w milczeniu i wierzyć w miłosierdzie Boże...

I obojętnem mi było w tej chwili, czy ten tajemniczy kamień zakrywa w istocie grób Bolesława Śmiałego czy jest tylko apokryfem i pamiątką późniejszej o nim legendy: — poddałem się zupełnie pierwszemu wrażeniu, a tego wrażenia nigdy nie zapomnę!

Ksiądz Franta dotknął się lekko mojej ręki.

— Chodźmy do kościoła, rzekł prawie szeptem, jakby odczuwając co się w mej duszy

* Napis ten, położono dopiero w r. 1839, przy odnowieniu grobu Bolesława, za inicjatywą hr. Izabelli Goess, małżonki b. namiestnika Galicji, a ze składek księcia Henryka Lubomirskiego, Stanisława Mniszcha, Jana i Aleksandra Stadnickich, Alfreda i Maurycego Potockich, Karola i Leopolda Krasińskich, Macieja Miączyńskiego, Seweryna Drohojowskiego, Federowicza, Wodzickiego i Seweryny z Potockich Sobańskiej.

dzieje i lękając się głośniejszem słowem tłumić uczucia co się cisnęły do mojej piersi.

Wdzięczny mu byłem za tę delikatność, a idąc w ślad jego kroków, rozmyślałem nad tym kamieniem, jak on przedziwnie dostraja się do rycerskiej tradycyi Bolesława i jak ten samotny rumak, daremnie oczekujący na jeźdźca, wymownie tłómaczy późniejsze losy swego pana.

Weszliśmy do kościoła.

Założenie tej świątyni sięga bardzo odległych czasów, bo fundamenta pod jej budowę kładziono w IX. wieku. Wzniesiona pierwotnie w stylu romańskim, dziś już niczem nie przypomina dawnego swego kształtu, gdyż wskutek klęsk i pożarów, jakie ją później nawiedzały, była wielokrotnie przerabiana i obecnie ta ubożuchna świątynia, mało co różni się od tylu innych, parafialnych kościołów. Ciekawa w niej jest tylko stara, gotycka kaplica, — późniejsza zapewne przybudówka może z XIII wieku, zawierająca piękne marmurowe pomniki opatów tutejszego klasztoru, wśród których, nagrobek opata Kacpra († 1500) uważany jest powszechnie za znakomite dzieło sztuki rzeźbiarskiej.

W pobliżu tej kaplicy, w północnej ścianie kościoła,, znajduje się głęboka framuga, otaczająca szerokiem półkołem terrakotową płytę, na

której widnieje napis: *Boleslaus Rex Poloniae*.

Pod tą właśnie płytą spoczywać mają zwłoki Bolesława, a kamień umieszczony pionowo na zewnętrznym murze kościoła i odpowiadający swem położeniem tej krypcie grobowej, jest pomnikiem króla pokutnika.

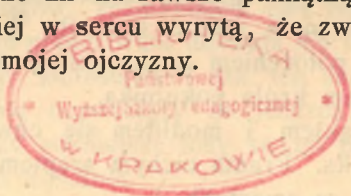
Ukląkłem i modliłem się chwilę, a stojący obok ks. Franta cichym szeptem odmawiał pacierze za zmarłych.

Obeszliśmy kościół dookoła, przyglądając się umieszczonym wysoko na ścianie, pod samem prawie sklepieniem, sześciu owalnym freskom wyobrażającym różne sceny z życia króla i świętego Stanisława; opatrywaliśmy wspólnie w gotyckiej kaplicy piękny ołtarz tryptykowy i nagrobki opatów, a gdym opuszczał świątynię i zapytał na odchodnem proboszcza, czy wierzy w to, że tu pokutował i tu odpoczął na wieki król polski? odparł z głębokiem przekonaniem:

— To nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości.

Łódź z przewoźnikiem kołysała się już na wodzie. Wsiadłem i odpłynąłem na brzeg przeciwny, na którym wznosi się skromny dworzec kolejowy i wkrótce nadchodzący pociąg uniósł mię z powrotem do Villach.

Lecz nie uniósł ze sobą tych wspomnień które tu zebrałem; nie uniósł doznanych wrażeń; nie rozwiął myśli co się cisnęły do głowy, bo to wszystko zostało mi na zawsze pamiątką, tem droższą i głębiej w sercu wyrytą, że związaną z przeszłością mojej ojczyzny.



K O N I E C



